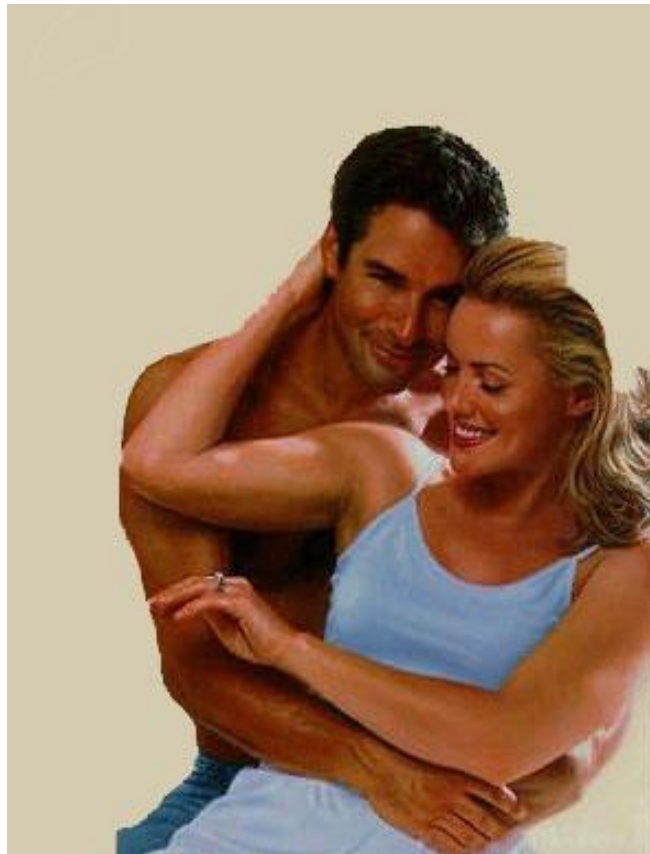




**Pickart Joan Elliott**

**Mój Joe**

Tytuł oryginału *Just My Joe*



## ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Wezwać policję. Wezwać policję.

Polly Chapman na dźwięk tego skrzekliwego głosu wzniosła oczy do nieba.

- Cicho, Jazzy - powiedziała i wcisnęła hamulec swego starego vana. - Policja nam tu niepotrzebna. No, w każdym razie nie w tej chwili - dodała, rozglądając się po niezbyt sympatycznej okolicy. - Ale masz rację. Nigdy nic nie wiadomo.

- Wezwać policję - zaskrzeczała Jazzy.

- Jezus Maria - westchnęła Polly, ruszając spod świateł.

Spod oka spojrzała na towarzyszącą jej na przednim siedzeniu tak rozmowną istotę. Jazzy, wielobarwna i bardzo pewna siebie papuga ara, podróżowała w dużej, wygodnej klatce i z zainteresowaniem rozglądała się dokoła.

Na następnym czerwonym świetle Polly dokładnie sprawdziła, czy wszystkie drzwi w aucie są dobrze zamknięte.

Dojazd z północnego zachodu Tucson w te biedne, południowe rejony miasta zabrał jej ponad godzinę. Owszem, słyszała o tych dzielnicach, ale do tej pory nie miała powodu, by się w nie zapuszczać. Cieszyły się one złą sławą i roiły się od przestępców.

Ciemne, nisko wiszące chmury pogłębiały jeszcze panującą tu atmosferę beznadziejności i zaniedbania.

- Wezwij policję - zaskrzeczała niezmordowana papuga.

- Nie, nie policję, Jazzy - powiedziała cicho Polly. - Tu przydałby się nam jakiś zastęp aniołów stróżów lub choćby dobra wróżka z czarodziejską różdżką.

- Głupia dziewczyna - odparła Jazzy. - Głupia dziewczyna.

- Bardzo ci dziękuję - mruknęła Polly. - Sama nie wiem, czemu z tobą rozmawiam. Jesteś niegrzeczna i nieobiektywna.

- Przygotuj zupę.

- I w dodatku straszna z ciebie antyfeministka. Sama przygotuj sobie swoją głupią zupę. Nie jestem twoją służącą. Po co ja rozmawiam z tym ptaszyskiem?

- Polly chce herbatnika?

- To wcale nie jest zabawne. Urwę Robertowi głowę za to, że cię tego nauczył.

- Polly chce herbatnika?

- Nie!

Z trudem, z pomocą mapy, udało jej się odnaleźć właściwą ulicę.

- Szkoła imienia Abrahama Lincolna-przeczytała obdrapany szyld. - To tutaj. Mogłam się tego spodziewać.

Czteropiętrowy budynek wyglądał jak wszystkie domy w tej okolicy. Był brudny, stary, zniszczony i ponury, tylko jego piętrowa przybudówka wyglądała na nieco nowszą.

- Oto cel naszej podróży, Jazzy. Teraz musimy jeszcze gdzieś tu zaparkować.

Dopiero dwie przecznice dalej udało jej się znaleźć jakieś miejsce.

Trudno, dobre i to, mruknęła pod nosem. W lusterku samochodu spojrzała na swoje odbicie. Choć miała już dwadzieścia cztery lata, w pubach ciągle musiała udowadniać swą pełnoletność. Wszystkiemu winne były jej naturalnie kręcone blond włosy, niebieskie oczy i piegi.

- Trudno - wzruszyła ramionami. - Mogę się tylko pocieszać, że kiedy będę miała lat czterdzieści, będę wyglądała na trzydziestkę i wszyscy będą mi zazdrościli. Prawda, Jazzy?

- Prawda, Jazzy - powtórzyła papuga.

- Trzeba to gdzieś zapisać. Pierwszy raz się ze mną zgodziłaś. A teraz do roboty!

Joe Dillon, z notesem w ręku, stał pod ścianą sali, zajmującej całą przybudówkę. Starał się nie zwracać uwagi na pięćsetkę rozmawiających i śmiejących się uczniów. Spojrzał na podchodzącego do niego mężczyznę w wojskowym mundurze i odnotował coś w notesie.

- Dziękuję, że zechciał pan przyjść na nasz dzień preorientacji zawodowej, sierżancie. Proszę zająć miejsce za stołem.

Sierżant bez słowa spełnił jego prośbę.

- Cześć, Joe. Jak leci?

Mark Jackson, dyrektor szkoły, miał pięćdziesiąt kilka lat, przyprószone siwizną włosy i jak na swój wiek mnóstwo zmarszczek. Choć dużo niższy od Joego, był fizycznie w znakomitej formie.

Mężczyźni nie tylko razem pracowali, ale lubili się i szanowali. Byli przyjaciółmi.

- Brak nam tylko Roberta Dogwooda, weterynarza. Znasz go?

- Nie, znalazłem go w książce telefonicznej. Trudno namówić kogoś, by przyjechał w te strony.

- Wcale mnie to nie dziwi.

- Damy mu jeszcze pięć minut. Jeśli się nie zjawi, zaczynamy bez niego. Chłopaki zaczynają rozrabiać.

Dyrektor rozejrzał się po sali.

- Mam nadzieję, że ich to zainteresuje. Chcę, żeby zrozumieli, że są sposoby, żeby się stąd wyrwać. Jeśli tylko przysiada fałdów, znajdą sobie jakiś cel, jakieś marzenia... Taka prezentacja różnych zawodów to może być niezły pomysł. Ciekawe tylko, jak to przyjmą.

- Właśnie. Z nimi nigdy nic nie wiadomo - zgodził się z uśmiechem Joe. - To dlatego praca w Lincolnie jest taka ... interesująca.

- Dobre słowo - roześmiał się Mark. - A mimo to obaj co roku przedłużamy kontrakt. Jesteśmy albo nawiedzeni, albo głupi. Zresztą co ja mówię? Wiemy, że tu jest nasze miejsce, i szczerze wierzymy, że uda nam się jakoś pomóc tym zagubionym dzieciakom.

- Racja. Wsiąknę tu na dobre.

- I jestem ci za to wdzięczny. Bez ciebie nie dałbym sobie rady.

- Nie gadaj bzdur, Mark. - Joe spojrział w stronę drzwi. - Doktor Dogwood chyba nie zaszczyli nas swoją obecnością. Zaczynamy.

- Dobrze. Ja ich trochę uciszę, a potem oddam mikrofon tobie. To ty przecież to wszystko zorganizowałeś.

- W porządku.

Dobry człowiek z tego Marka, pomyślał. Wychował się w podobnej dzielnicy w Detroit, rozumie tych chłopaków i wie, co ich czeka. Mieszka z rodziną w ładnym domku na północnym zachodzie miasta, ale jest tak oddany tej szkole, że na pewno zostanie tu do emerytury.

Joe rozejrzał się po rozkrzyczanym tłumie.

A on? A co trzyma tu jego? Pochodził z bogatej rodziny, która spełniała wszystkie jego zachcianki. Traktował swoją sytuację jako coś oczywistego.

Przed dziesięcioma laty uznał, że jest światu coś winien. Zrezygnował z życia pod kloszem, z rodzicami widywał się tylko od święta.

Pracował w getcie. Mieszkał w getcie. Oddychał powietrzem getta. Tylko w ten sposób mógł naprawdę czuć to, co przeżywają jego uczniowie. Brak mu było wiedzy z pierwszej ręki, czegoś, co posiadał Mark, ale nadrabiał to oddaniem.

Czy było to poświęcenie? Może. Przede wszystkim wiedział, że nigdy się nie ożeni i nie założy rodziny. Nie mógłby kazać im mieszkać w takich warunkach, a on zdecydowany był tu zostać.

Z upływem lat coraz bardziej gardził bogaczami, myślącymi tylko o zaspokajaniu własnych przyjemności. Udają nawet, że takie miejsca jak to w ogóle nie istnieją. A niech ich diabli.

No, dość, stary! Weterynarz najwyraźniej stchórzył. Trzeba zacząć bez niego.

Krótki spacer od auta do szkoły zupełnie wykończył Polly. Jazzy wraz z klatką wcale nie była taka lekka.

Przed drzwiami do przybudówki Polly na moment przystanęła, by uspokoić oddech.

- No, Jazzy. Do dzieła! - mruknęła i weszła do środka.

- ...człowiekowi, któremu zawdzięczamy organizację tego spotkania - usłyszała wzmocniony mikrofonem głos. - Powitajmy Joego Dillona.

Aplauz uczniów był ogłuszający. Krzyczeli, buczeli, klaskali i tupali.

- O rany - skrzywiła się Polly.

Na myśl, że musi przejść przez całą tę salę i dołączyć do najwyraźniej przez wszystkich uwielbianego Joego Dillona, zrobiło jej się słabo.

- Dzięki. - Joe uciszył zebranych ruchem ręki. Polly wolno ruszyła w jego stronę. Uczniowie powoli milkli.

Polly uniosła głowę do góry i szła dalej.

- Nasze dzisiejsze spotkanie ma być dla was okazją, by... - zaczął Joe.

- Wezwać policję - zaskrzeczała głośno i wyraźnie Jazzy.

Uczniowie wybuchnęli śmiechem.

- Nie ma mowy! - krzyknął jakiś chłopak. - I tak za często mam z nią do czynienia.

Polly poczuła, że się rumieni. Przyspieszyła kroku, obiecując sobie, że kiedy to wszystko się skończy, niechybnie udusi wstrętne ptaszysko.

Co się dzieje? zainteresował się Joe. To na pewno nie jest tak przez niego oczekiwany doktor Dogwood. To jakaś dziewczynka z gadającym ptakiem...

Nie, chwileczkę. Na pewno przysłał ją tu ów weterynarz. Inaczej co by tu robiła? Zresztą wcale jej tego nie zazdrościł.

Była teraz już dużo bliżej...

To wcale nie dziewczynka. Kobieta, bez dwóch zdań. Młoda, owszem, ale kobieta.

I to bardzo ładna kobieta, która w tej chwili czerwieni się ze wstydu.

Joe uznał, że musi jej pomóc. Zerwał się z krzesła i w mgnieniu oka znalazł się tuż obok niej.

Polly zatrzymała się i spojrzała na mężczyznę, który zapewne był Joem Dillonem.

- Ja... - zaczęła i natychmiast zapomniała, co chciała powiedzieć.

Choć tak bardzo zmieszana i zawstydzona, zdała sobie sprawę, że ma przed sobą najprzystojniejszego mężczyznę na świecie.

Nic dziwnego, że tłum uczniów powitał go z takim entuzjazmem. Joe Dillon był wysoki, miał szerokie ramiona, był opalony, a jego włosy były gęste, brązowe i odrobinę za długie. A oczy... miały kolor kajmaku.

- Przepraszam za spóźnienie - wyjąkała, sama zaskoczona tym, że jakoś jej się to udało. - Nie mogłam znaleźć miejsca do zaparkowania i musiałam kawałek dojść. A z tą klatką...

- Nie jest pani doktorem Dogwoodem, prawda? - stwierdził Joe. Teraz, mając ją tuż obok siebie, uznał, że jest wręcz piękna. Ile może



mieć lat? Dwadzieścia? Dwadzieścia dwa? Dwadzieścia pięć? - Domyślałam się, że przysłano panią w zastępstwie.

- Tak. Robertowi wypadła jakaś pilna operacja, a jego żona, doktor Nancy Dogwood, przyjmuje w klinice. Ja jestem Polly Chapman i pracuję jako technik weterynaryjny.

- Rozumiem.

- Nigdy jeszcze czegoś takiego nie robiłam. Nie mam pojęcia, czego się pan ode mnie spodziewa. Robert nie zdążył mi nic wyjaśnić.

- Mów mi Joe... Polly. Nie będziesz pierwsza, więc zanim przyjdzie twoja kolej, zdążysz się zorientować. Pozwól, że wezmę od ciebie tę klatkę.

- Co? A, tak, dziękuję.

Kiedy brał od niej klatkę, jego palce leciutko musnęły jej dłoń. Le-  
ciutko, a oboje mieli wrażenie, że przeszył ich prąd.

Zmieszani, spojrzeli na siebie. Letni błękit oczu Polly zanurzył się w kajmakowym brązie.

- Chcesz się przytulić, króliczku? - zapiszczała Jazzy. Polly ze złością spojrzała na ptaka.

- Jazzy, na miłość boską, bądź cicho! - szepnęła i podążyła za Joem.

Wciąż czuła dotyk jego ręki na swoich palcach. Co za niesamowite wrażenie!

Eee, to zwykłe elektryczne wyładowanie. Tak się przecież zdarza.

Nie, nie tym razem.

Joe Dillon był jednym z tych niebezpiecznych mężczyzn, od których męskość wręcz promieniowała. I było to bardzo, bardzo groźne.

Polly przysiadła na krześle, uśmiechnęła się do wszystkich wokół i złożywszy ręce na kolanach, starała się przybrać uprzejmy, spokojny, pełen zainteresowania wyraz twarzy.

Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że siedzi tuż za stojącym przy mikrofonie Joem.

Jezu, cóż za cudowny widok! Nawet z tyłu Joe był doskonały. Te pośladki, te umięśnione długie nogi.

I znów ta dziwna reakcja - gorąco płynące w dół jej ciała. Nigdy w życiu nie reagowała tak na żadnego mężczyznę. W dodatku na takiego, którego zna od trzech minut.

Dość, wystarczy. Musi przestać gapić się na pupę Dil-lona i skupić na tym, co dzieje się na sali.

- Polly chce herbatnika? - zaskrzeczała Jazzy.

- Ćśśś.

Joe ułożył papiery, które wziął ze stołu, i odchrząknął.

Czuł się jak po potężnym, niespodziewanym ciosie w żołądek. Kiedy musnął palce Polly Chapman, gorąco przeszło jego ramię i spłynęło w dół.

Ta młoda, piegowata kobieta wywarła na nim niesamowite wrażenie. Nie był do takich rzeczy przyzwyczajony i wcale mu się to nie podobało.

Kurczę, nie była nawet w jego typie! Nie zawierał znajomości z kobietami, które mogłyby występować w reklamach płatków śniadani-

wych. Spotykał się ze znającymi się na rzeczy panienkami, które po prostu lubiły się zabawić i nie spodziewały się niczego więcej.

Nie mógł sobie pozwolić na dalsze rozmyślenia. Chłopcy zaczęli się niecierpliwić.

- A więc, moi drodzy... - rzekł do mikrofonu.

- Niech pan najpierw da tę kobitkę z ptakiem! - krzyknął jakiś chłopak. - Chcemy panienkę z ptakiem!

Uczniowie potwierdzili jego prośbę oklaskami i tupaniem.

Polly miała wrażenie, że budynek za chwilę się rozpadnie. Modliła się, by Joe Dillon jakoś ją ocalił. Nie była przecież przygotowana. Nie wiedziała nawet, jak zacząć.

- Cisza! - Wystarczył jeden ruch ręki Dillona, by sala zamilkła. - Dobrze. Ponieważ nasza prezentacja ma pomóc przede wszystkim wam, uznaję, że możecie sami wybrać kolejność wystąpień. Powitajmy więc jako pierwszą panią Polly Chapman.

Joe z uśmiechem spojrzał na wciąż przyklejoną do krzesła Polly.

- Przepraszam - szepnął, nachylając się ku niej. - Jak ich nie posłuchamy, dadzą nam popalić. Wzbudziłaś ich zainteresowanie i to jest wspaniałe.

- Wspaniałe? - Polly uniosła brwi. - O czym mam mówić?

- Powiedz im, co robisz i jakie trzeba mieć do tego wykształcenie. A potem już jakoś poleci. Przepraszam, nie chciałem być złośliwy.

- Bardzo zabawne! - skrzywiła się Polly, lecz zajęła jednak miejsce przy mikrofonie.

Kiedy uświadomiła sobie, że Joe siedzi teraz na krześle, na którym wcześniej siedziała ona, zrobiło jej się słabo. Ze świadomością, że ma przed sobą jej pupę, nie będzie w stanie wykrztusić z siebie ani słowa.

- Nie możesz tu siedzieć - rzuciła przez zaciśnięte gardło.
- Dlaczego? - Joe był wyraźnie zdziwiony.
- Bo mnie to peszy.
- Czemu? To takie samo miejsce jak każde inne.
- No, idź, przesiądź się! - Polly, zniecierpliwiona, machnęła ręką.
- Tak jest! - odparł Joe i podniósł się z krzesła. - Wedle rozkazu.
- Dzięki. - Polly odwróciła się z powrotem do mikrofonu.

Joe z powrotem usiadł na tym samym krześle.

- Dzień dobry - zaczęła Polly. - Nazywam się Polly Chapman i chciałabym podziękować za zaproszenie mnie tutaj.

No, no, Joe od razu zorientował się, czemu Polly tak bardzo zależało, by zmienić miejsce. Siedząc wcześniej na tym krześle, miała okazję dokładnie obejrzeć jego pupę i bała się, że teraz on zrewanżuje jej się tym samym.

I nie myliła się.

A pupę miała rzeczywiście wspaniałą - małą, krągłą, kobiecą.

Joe znów poczuł ogarniającą go falę gorąca.

Nie, to idiotyczne. Nie jest przecież siedemnastolatkiem, którym rządzą hormony. Jest dorosłym, opanowanym, trzydziestopięcioletnim mężczyzną.

Kiedy jednak przeniósł wzrok na głowę Polly, poczuł się jeszcze gorzej. Wyobraził sobie, jak zanurza palce w jej włosy i...

Nie, wystarczy! Nie wytrzyma na tym krześle ani chwili dłużej.

Przeniósł się na przeciwległy kraniec stołu i skrzyżował ręce na piersi. Polly spojrzała na niego pytająco.

- Nie przeszkadzaj sobie - szepnął. - Nie zwracaj na mnie uwagi.

Akurat, pomyślała. To ostatnia rzecz, na jaką stać ją w tej chwili.

- A więc, moi drodzy - jakoś udało jej się skoncentrować na audytorium. - Od dziecka pragnęłam zostać weterynarzem. Ciągłe znosiłam do domu psy, koty, ptaki, żaby i wszystko inne, co, moim zdaniem, wymagało mojej opieki. Kiedy dorosłam, nie zapomniałam o dziecięcych marzeniach. Musiałam jednak pogodzić się z faktami. Suma potrzebna, by zostać weterynarzem, była poza moim zasięgiem.

Joe spojrział na swoich uczniów. Pięćset par oczu wpatrywało się w Polly z ogromną uwagą.

Udało jej się naprawdę do nich trafić. Oni też mieli marzenia, które nigdy się nie spełnią.

Mów dalej, popatrz, jak cię słuchają, apelował do niej w duchu.

- Ku swej ogromnej radości - ciągnęła Polly - znalazłam wydział na uniwersytecie Arizony, na którym mogłam zdobyć wykształcenie technika weterynarii - i to o połowę szybciej i o połowę taniej, niż gdybym chciała zostać lekarzem weterynarii. Znalazłam więc sposób na spełnienie swoich marzeń. Od kilku lat pracuję u doktora Roberta i Nancy Dogwoodów, małżeństwa weterynarzy, którzy mają klinikę w północno-zachodniej części miasta.

- I co tam pozwalają panience robić? - krzyknął któryś z chłopaków.

- Sprzątać po pieskach i kotkach?

Polly roześmiała się.

- Czasami. Ale mogę też badać, szczepić, opiekować się zwierzętami po operacjach i robić wiele różnych innych rzeczy. Czerpię z tej pracy ogromną satysfakcję.

- To super! - skomentowała jakaś dziewczyna. - A ten ptak?

- To Jazzy - wyjaśniła Polly. - Państwo Dogwoodowie prowadzą też coś w rodzaju hotelu czy przechowalni dla zwierząt. Postanowiłam pokazać wam jedną z naszych pensjonariuszek, Jazzy. Jej właściciele wyjechali na pół roku do Europy.

- Och, biedaczki - prychnął kolejny uczeń. Uważaj, Polly, ostrzegł w duchu prelegentkę Joe. Nie

wspominaj o świecie, którego te dzieciaki nigdy nie poznają. Uważaj.

Polly otworzyła klatkę i Jazzy wyskoczyła na stół.

- Jazzy jest arą. Słyszeliście już, jak mówi. Jej słowa często pasują do sytuacji, więc można pomyśleć, że naprawdę włącza się do rozmowy. Ale to, oczywiście, niemożliwe. Kiedy zaczęłam pracować u Dogwoodów, skończyłam kurs opieki nad ptakami egzotycznymi, bo bardzo ich wiele u siebie gościmy.

- Pocałuj mnie, laleczko - zaskrzeczała Jazzy.

- Ile taki ptak kosztuje? - zainteresowała się jedna z dziewcząt.

Ojej, będą kłopoty, przeraził się Joe.

- Jazzy ma wśród swych przodków wielu czempionów - odparła uprzejmie Polly. - Jest warta...

Nie mów, ile, Polly, błagał ją w myślach Joe. Powiedz, że nie masz pojęcia.

- ...jakieś kilka tysięcy dolarów. O cholera!

Nagle rozległ się hałas, buczenie i gwizdy. Co się stało? Tak dobrze jej szło. Uczniowie byli wyraźnie zainteresowani. Skąd taka reakcja? Joe stanął przy stole i uniósł ręce.

- Spokojnie! - krzyknął. - Wiem, skąd jesteście, ale to nie powód, by się tak zachowywać.

To dobrze, że Joe wie, skąd te rozzłoszczone dzieciaki są, Polly nie miała zielonego pojęcia.

- Przestańcie! Natychmiast! Cisza!

W tej samej chwili, zupełnie nie zrażona jego krzykiem, Jazzy podskoczyła na kant stołu, nastroszyła pióra i z całej siły dziobnęła tak niedawno podziwianą przez Polly wspaniałą, męską pupę Joego Dilona.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Sala przekształciła się w dom wariatów.

Joe wrzasnął, odwrócił się i z nienawiścią spojrział na papugę. Jazzy błyskawicznie schroniła się w klatce. Polly szybko zamknęła drzwiczki.

Uczniowie oszaleli. Krzyczeli, śmiali się, gwizdali i pokazywali palcami Joego. Potem trzykrotnym „hura” uhonorowali Jazzy.

Chcę do domu, myślała gorączkowo Polly.

Mark Jackson stanął za stołem.

- Teraz już ja poprowadzę to spotkanie - zwrócił się do Joego. - Ty weź pannę Chapman oraz tę zbrodniarkę i wyjdźcie bocznym wyjściem. Potrzebny ci lekarz? - dodał.

- Nie - warknął Joe. - Tylko przepis na papugę z różną.

- To niesprawiedliwe - oburzyła się Polly. - Jazzy zdenerwował ten hałas i dlatego się tak zachowała. Jeszcze nigdy nikogo nie dziobnęła. Była wytrącona z równowagi, a twoja... ty byłeś tuż przed nią i...

- Przestań - mruknął Joe.

Chwycił klatkę, a drugą ręką ujął Polly pod ramię.

- Idziemy.

- Cześć, panienko! Żegnaj, Jazzy - zawołali chórem uczniowie.



Polly uśmiechnęła się do nich i pomachała im wolną ręką. W tej samej chwili Joe prawie uniósł ją do góry i poprowadził w stronę drzwi. Do mikrofonu podszedł Mark Jackson.

- No, dobrze, pośmialiśmy się, a teraz już proszę o spokój. Nasz następny gość...

Zanim Polly dowiedziała się, kim będzie następny mówca, byli już na dworze. Cała trójka.

Joe postawił klatkę na ziemi i masował miejsce, które zaatakował dziób papugi.

- Cholera, ale boli! - mruknął, spoglądając na Polly. - A w dodatku to wstrętne ptaszysko ośmieszyło mnie przed moimi uczniami.

- To nie była jej wina. - Polly wysoko uniosła głowę i złożyła ręce na piersi. - Była wystraszona. Zresztą ja też. W ogóle nie wiedziałam, co się stało. Nagle przestali słuchać i oszaleli. Dlaczego?

Joe westchnął i podniósł klatkę.

- Chodź, Polly - rzekł. - Odprowadzę cię do auta. Celowo chciałem, żeby naszymi gośćmi byli mężczyźni. Wiem, że w okolicy nie ma gdzie zaparkować, i nie chciałem, żeby jakaś kobieta musiała sama chodzić po tych ulicach.

Polly roześmiała się.

- Nikt by się nie odważył mnie tknąć. Mam przecież to odważne ptaszysko. Przepraszam - powiedziała, widząc wzburzenie Joego. - Chciałam cię tylko trochę rozbawić. Pomyśl tylko. Jazzy mogła się przecież wczepić w twoją... w twoje ciało i w ogóle nie puścić. To by dopiero był cyrk.

- Gdzie jest twoje auto, Polly? - spytał Joe, bez śladu uśmiechu.

- Tu, w pobliżu.

Przez chwilę szli w milczeniu. Nawet Jazzy milczała.

- No, powiesz mi w końcu, na czym polegał mój błąd? - spytała po paru chwilach Polly.

- Nie domyślasz się, co? Na to wygląda.

- No, mów.

- Zaczęłaś dobrze, naprawdę znakomicie. Dotarłaś do tych młodych ludzi swoją opowieścią o marzeniach, na których realizację nie było cię stać. To ich zainteresowało.

- Brawo dla mnie - zauważyła z przekąsem Polly. -Niestety, nie na długo.

- Pokazałaś im, że mimo wszystko osiągnęłaś swój cel, a potem? Nagle wszystko zepsułaś.

- Co takiego zrobiłam? - Polly prawie krzyczała.

- Właściciele Jazzy wyjechali na pół roku do Europy? Ten kretyński ptak kosztuje tysiące dolarów? Zastanów się, Polly.

- Przecież to prawda.

- I na tym polega problem. Nie rozumiesz? - Joe też mówił coraz głośniej. - W oczach tych dzieciaków sprzedawałaś się. Walczyłaś, zrezygnowałaś z części swych marzeń, a na koniec z radością wkroczyłaś w świat bogaczy.

- To nie ma sensu. Dogwoodowie zaproponowali mi pracę i ja ją przyjąłem. Tak robi większość ludzi, którzy muszą jeść i płacić

czynsz. Co to za różnica, gdzie wykorzystuję umiejętności, które z takim trudem zdobyłam?

- Ogromna, szanowna pani. Mogłaś pracować w publicznej klinice weterynaryjnej w dzielnicy biedoty. Albo w Towarzystwie Opieki nad Zwierzętami. Albo w jakiejś innej organizacji zajmującej się bezdomnymi zwierzętami. Ale nie podjęłaś takiej pracy. Nianczysz jakieś idiotyczne ptaszyska, które kosztują więcej, niż rodzice tych dzieciaków zarabiają przez pół roku. Wyparłaś się swych korzeni, tego, kim jesteś, i te dzieci to zrozumiały.

- Wezwać policję - powiedziała Jazzy. - Wezwać policję.

Polly zatrzymała się i z furią spojrzała na Joego.

- Chwileczkę. Zgadzasz się z nimi, prawda? Wyrażasz nie tylko ich opinię, ale i swoją. Zgadza się? Powiedz, Joe, zgadza się? Osądzasz mnie tak samo jak oni.

- Owszem. Mogłaś dać coś z siebie światu, z którego pochodzisz. A ty? Zadajesz się z bogatymi i sławnymi, którzy wyjeżdżają sobie na pół roku do Europy i mają tyle forsy, że wydać parę tysięcy dolarów na ptaka to dla nich pestka. Owszem, zgadzam się z uczniami szkoły imienia Abrahama Lincolna. Sprzedałaś się, Polly.

- A ty zwariowałeś. - Polly obróciła się na pięcie i poszła dalej chodnikiem. - Jesteś po prostu kretynem. Doprowadzasz mnie do szału. Jak śmiesz mnie osądzać? Co za bezczelność. Ciężko pracuję na swoje utrzymanie i... Eee, dajmy sobie spokój. Nie będę się przed tobą usprawiedliwiać. Przecież ty w ogóle nic o mnie nie wiesz. Zresztą, czy z ciebie jest taki znowu ideał? Przykład do naśladowania?

- Nie rozumiem?

- Czy brak obrączki na twoim palcu oznacza, że jesteś kawalerem?

- Tak.

- A więc jesteś kawalerem i pewnie już od kilkunastu lat pracujesz jako nauczyciel. Domyślam się, że, jak na tę okolicę, zupełnie nieźle zarabiasz. Przyjeżdżasz co rano do tej szkoły i udajesz świętego. A co robisz, kiedy dzień pracy się kończy? Do której części miasta wracasz, Joe? W której z tych bogatych, eleganckich dzielnic mieszkasz?

Polly podeszła do swego sfatygowanego vana i wyjęła z kieszeni kluczyki.

- No, na to akurat pytanie łatwo mogę ci odpowiedzieć - rzekł Joe, stając obok niej.

- To odpowiedz.

- Co za szczęśliwy zbieg okoliczności. Zaparkowałam akurat przed domem, który wynajmuję. To jest ta elegancka dzielnica, w której mieszkam. Widzisz więc, że moje ideały to nie tylko słowa.

Polly już otwierała usta, by oznajmić, że poczucie humoru Joego pozostawia wiele do życzenia. W ostatniej chwili dotarło do niej jednak, że Joe wcale nie żartuje.

W milczeniu przyglądała się wskazanemu przez Joego budynkowi.

Dom był stary, drewniany, niewielki, ale dobrze utrzymany. Pomalowano go na beżowo. Miał niewielki ganek, na którym stały dwa leżaki, i małe podwóreczko, wysypane ciemnobrązowymi kamyczkami.

Zadbanie wyróżniał się spośród innych domów w tej okolicy, ale to jeszcze nie oznaczało, że tu właśnie mieszka Joe Dillon. To przecież absurd, by facet z jego dochodami mieszkał w dzielnicy przestępców.

- Nie wierzysz mi, prawda? - spytał Joe.

- Zastanawiam się - odparła Polly, nie odrywając wzroku od budynku. - Po prostu nie mogę zrozumieć, czemu, skoro nie musisz, postanowiłeś zamieszkać w... getcie.

Spojrzała na niego z wyraźnym zdziwieniem.

- To dzisiejsze spotkanie, które zorganizowałeś w szkole, dowodzi, iż chcesz, żeby twoi uczniowie mieli nadzieje i marzenia o lepszym życiu. Chciałeś im pokazać, że są sposoby, by wydostać się z tego środowiska. Dlaczego, Joe? Dlaczego postanowiłeś tu zostać, skoro nie musisz?

Polly znów spojrzała na wynajmowany przez Joego dom.

- Nie, nie mogę zrozumieć, czemu tu mieszkasz. Nie widzę w tym żadnego sensu.

- Chodź ze mną. Udowodnię ci to.

- Nie masz dziś żadnych lekcji?

- Prezentacja zawodów potrwa pewnie cały ranek. Zdamę wrócić na swoje następne zajęcia. Idziesz?

- Czemu n<sup>^</sup> - poddała się Polly. - Spotkało mnie już dziś tyle niespodzianek, że jedna więcej nie zaszkodzi. Cóż jeszcze może mnie zaskoczyć?

- Ciasto, lody i butelka piwa - zaskrzeczała Jazzy.

- To niebezpieczna kombinacja, Jazzy - zauważyła Polly.

- Polly chce herbatnika?

- Cicho bądź.

- Chyba nie wstawię tej klatki do auta - rzekł Joe. - Ta kupa piór jest przecież warta kilka tysięcy.

- Nie zaczynaj znowu - skarciła go Polly. - To nie ja ustalam ceny na ary.

- Nie, ty tylko niańczysz te ptaszyska, kiedy ich właściciele wyjeżdżają na pół roku do Europy. - Joe ominął Polly i ruszył w stronę swojego domu. - Ma pani ogromne zasługi dla społeczeństwa, panno Chapman.

Polly westchnęła i podążyła za nim.

Na ganku Joe znacząco spojrział na wiszącą na drzwiach metalową skrzynkę na listy. Nalepka z nazwiskiem Dillon była na niej aż nadto wyraźna.

- Dobrze, wystarczy - powiedziała Polly. - Wierzę, że tu mieszkasz. Wciąż nie mam pojęcia, dlaczego, ale przyjmuję do wiadomości, że to twój dom.

- Nie chcesz go zwiedzić?

- Nie mam zwyczaju wchodzić do domów mężczyzn, których nawet nie znam - oświadczyła Polly.

Joe nie mógł powstrzymać się od śmiechu. Natychmiast jednak spoważniał.

- Ty mnie rzeczywiście nie rozumiesz - stwierdził. - Jak mógłbym zrobić cokolwiek dla moich uczniów, gdybym nie żył w ich świecie?

Joe zmrużył oczy i patrzył uważnie na Polly.

- A ty? - mówił dalej. - Ty egzystujesz wśród bogatych, którym tylko w głowie głupoty. Udało ci się jakoś wydostać ze swojej sfery, a potem, zamiast spłacić wobec niej dług, odwróciłaś się do niej plecami... Czy to do ciebie chociaż trochę dociera, Polly?

- Owszem, dociera. Jesteś uprzedzony i ograniczony. Nie dopuszczasz żadnej dyskusji. Oceniasz ludzi, których nawet nie znasz i nic o nich nie wiesz.

- Ja...

- Wiesz co? Nie podobasz mi się. Może i jesteś najbardziej przystojnym facetem, jakiego w życiu spotkałam, ale od słuchania ciebie robi mi się niedobrze. Oddaj mi ptaka, Joe.

- Co takiego? - parsknął śmiechem.

- Dobrze wiesz, co. - Polly wyrwała mu klatkę z papugą. - Idę stąd i to natychmiast. Chyba powinnam powiedzieć, że miło było cię poznać, ale nic z tego. Wcale nie było mi miło. Żegnaj pana, panie Dillon.

- Polly, zaczekaj - zawołał Joe, kiedy była już przy swym vanie.

- Nie!

Patrzył, jak ostrożnie manewrując, wyjeżdża z parkingu. Na wszelki wypadek uśmiechnął się, licząc na to, że Polly na niego spojrzy. Nie spojrzała!

Po kilku sekundach już jej nie było.

Joe westchnął i opadł na leżak.

Cóż z niego za kretyn! Owszem, wierzył w słuszność swojej decyzji. Wiedział, że aby lepiej zrozumieć swoich uczniów, musi żyć w tym samym środowisku, co oni. Od prawie dziesięciu lat tu był jego dom.

Czemu jednak zaatakował Polly z taką agresją? Czemu zarzucił ją swoimi osądami, a zupełnie zlekceważył jej opinię?

Okazał się wstrętnym, aroganckim i apodyktycznym idiotą.

Joe oparł łokcie na kolanach i gapił się przed siebie.

Wiedział, czemu zachował się wobec tej dziewczyny w taki sposób. Musiała zapłacić za poprzedni wieczór, który spędził u swoich rodziców. Zniósł tych kilka godzin gorzej niż zazwyczaj i wrócił do domu zły i rozdrażniony. Długo nie mógł zasnąć.

I co zrobił? Wyładował swoje frustracje na pierwszej osobie, która choć odrobinę przypominała mu tamten świat. Cholera!

Polly nie zasłużyła na takie traktowanie. Owszem, uważał, że się sprzedała, że służy bogaczom, zamiast spłacić dług wobec środowiska, z którego pochodzi.

Ale miała rację, mówiąc, że on ocenia ludzi, których w ogóle nie zna, o których nic nie wie. Nigdy do tej pory mu się to nie zdarzyło i czuł się w związku z tym podle.

Wiedział, że będzie musiał przeprosić Polly, choćby nawet miały to być przeprosiny wymuszone.

Polly była taka wściekła, że dopiero w połowie drogi do kliniki uświadomiła sobie, dokąd jedzie.

Nie przywykła do takich konfrontacji. Była tak emocjonalnie wypompowana, że chciało jej się płakać.

Pragnęła wymazać z pamięci cały ten ranek i wszystkich związanych z nim ludzi. Przede wszystkim zaś Joego Dillona.



Jakoś będzie musiała to zrobić.

- Oddaj mi ptaka, Joe - zaskrzeczała Jazzy. - Joe. Joe. Oddaj mi ptaka.

- No, tak! Jeszcze tego brakowało - westchnęła Polly. - Zamknij się, Jazzy.

- Zamknij się, Jazzy. Oddaj mi ptaka, Joe.

Polly zaklęła pod nosem i skupiła się na prowadzeniu.

Nancy i Robert Dogwoodowie byli sympatycznymi ludźmi po czterdziestce. Postanowili nie mieć dzieci, uznając, że ich rodzicielskie instynkty zaspokoją w pełni zwierzęta.

Kiedy Polly weszła do kliniki, stali akurat przy biurku recepcjonistki.

- O, są nareszcie! - ucieszył się Robert. - Nasi wysłannicy do szkoły imienia Abrahama Lincolna. Jak wam poszło, Polly?

Polly postawiła ciężką klatkę na biurku.

- Oddaj mi ptaka, Joe - zaskrzeczała Jazzy.

- Słucham? - roześmiała się Nancy. - To coś nowego. Mam nadzieję, że do powrotu swoich właścicieli jednak to zapomni. A więc, Polly, powiedz nam, kto to jest Joe?

- Pewnie Joe Dillon - rzekł Robert - nauczyciel, który mnie tam zaprosił. Nie wyglądasz na zachwyconą, Polly. Coś poszło źle?

- Wszystko poszło źle - odparła ze smutkiem Polly. Oparła łokcie o blat biurka i wsparła brodę o rękę. - Dzieciaki w tej części miasta nie

lubią, kiedy im się opowiada, że jakiś ptak kosztuje parę tysięcy dolarów, a jego właściciele włóczą się po Europie.

- O cholera! Nie wpadło mi to do głowy - mruknął Robert. - Ja też pewnie bym o tym wspomniał.

- Joe Dillon był zdania, że powinnam się tego domyślić. Nie był ze mnie zadowolony. A w dodatku Jazzy dziobnęła go w tyłek. Na oczach wszystkich jego uczniów.

- Jezus Maria! - jęknęła rozbawiona Nancy Dogwood. - Biedaczek. Cóż za doświadczenie.

Polly kiwnęła tylko głową. Nie mogła, nie umiała i nie chciała powiedzieć Dogwoodom nic więcej.

Joe Dillon miał jej przecież za złe, że pracuje u takich ludzi jak oni.

A w dodatku w taki dziwny, niespodziewany sposób podziałał na jej zmysły. I na ciało.

- Idź na obiad, Polly - rzekł Robert. - Wyglądasz na wykończoną. Przepraszam, że cię tam wysłałem.

- To nie twoja wina, że tak źle to wypadło. - Polly spojrzała na krzesło, na którym zwykle siadywała recepcjonistka. - Nie chcesz, żebym, jak zwykle, posiedziała przy telefonie, dopóki nie wróci Becky?

- Ja się tym zajmę - powiedziała Nancy. -1 choć następną wizytę mamy dopiero za godzinę, i tak muszę tu siedzieć. Czekamy, aż przyniosą jedzenie dla Pookiego.

- Nasz nowy pensjonariusz jada tylko nosiłki z restauracji? - zdziwiła się Polly.

- Owszem - uśmiechnął się Robert. - Niezłe, co? Delikacik nie tknie niczego z puszki. Dziś przywiozą mu coś świeżego i kilka plasterków średnio wysmażonego befsztyka. Myślisz, że zauważy, jak mu trochę podjem?

- Zauważy - odparła Nancy. - Ani mi się waż! Specjalnie zamawiane posiłki dla pudła? zdziwiła się

Polly. Ilu uczniów Joego Dillona jadło kiedykolwiek befsztyk czy było w restauracji, w której można go zamówić? Nawet ona nigdy nie była w takim miejscu.

Gdyby uczniowie z Lincolna dowiedzieli się o kulinarnych upodobaniach Pookiego, wpadliby w szal.

- Nie myślicie, że to pewna... przesada? - spytała. Robert wzruszył ramionami.

- Hendersonowie mogą sobie na to pozwolić. Traktują Pookiego jak dziecko. Nigdy by go u nas nie umieścili, gdyby nie musieli wyjechać w jakiejś pilnej sprawie rodzinnej. Już dwa razy dzwoniли i pytali, jak się czuje ich kochanie. Najpierw z lotniska, a potem z samolotu.

- Boże święty! - westchnęła Polly.

- Ja uważam, że to jest wruszające – powiedziała Nancy. - Tyle się widzi zwierząt maltretowanych czy bezdomnych. Hendersonowie kochają Pookiego i nie wstydzą się tej miłości okazywać. Nie widzę w tym niczego złego.

- Ale... - zaczęła Polly, ale zamilkła i przycisnęła palce do skroni. - Nieważne. Mam okropny ból głowy, nie jestem w stanie myśleć, a cały ten straszny ranek najchętniej wymazałabym z pamięci.

- Idź coś zjeść i nie spiesz się z powrotem.
- Dobrze, dzięki. Mam kanapki i zjem je w parku. Świeże powietrze dobrze mi robi.
- Oddaj mi ptaka, Joe! - wrzasnęła Jazzy.
- Dosyć, wstręciuchu. - Robert wziął do ręki klatkę.
- Uważaj, bo Polly gotowa cię zamordować. Chodź, dostaniesz kawałek jabłka.
  - Jabłko - powtórzyła Jazzy. - Jabłko i piwo. Robert szybko wy-  
niósł z pokoju rozbawionego wyraźnie ptaka.
  - Polly, dobrze się czujesz? - zaniepokoiła się Nancy. - Jesteś taka  
blada.
  - Nic mi nie jest. - Polly zdobyła się nawet na uśmiech. - Czuję się  
tylko zmęczona. Zjem coś, odpocznę i będę jak nowa.
  - O, jest obiad Pookiego - oznajmiła Nancy.
  - Mnie już nie ma! - Polly szybko wybiegła z pokoju.
  - Cienko pokrojony befsztyk, co? - mruknęła pod nosem. - A ja  
zjem kanapkę z serem.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Następnego ranka Polly siedziała przy okrągłym, drewnianym stole w swojej małej kuchni i patrząc przez okno, popijała herbatę.

Miała nadzieję, że gorący płyn doda jej energii, rozbudzi ją i przygotuje na nowy dzień.

Nic z tego!

Wsparła głowę na rękach i zamknęła oczy.

Była taka zmęczona. W nocy prawie nie spała. Kiedy chwilami udawało jej się zdrzemnąć, śnił jej się Joe Dillon, największy kretyn świata.

W jednym z tych snów był w smokingu i tańczył walca z ogromną papugą w cylindrze. Ptak miał takie samo upierzenie jak Jazzy i Polly była przekonana, że skumał się z Joem, by zakłócać jej sny.

Potem sceneria się zmieniła w zamgloną polanę otoczoną srebrno-listnymi drzewami.

Joe nadal ubrany był w smoking, ale tym razem jego partnerką była Polly - w długiej, balowej sukni.

Tańcząc w rytm pochodzącej z nieznanego źródła muzyki, stanowili cudowną parę.

Nawet teraz, w jasnym świetle dnia, wciąż czuła na sobie jego ręce. Kiedy w pewnej chwili Joe pochylił się ku niej i jego usta już, już miały spocząć na jej wargach...

- Wtedy się obudziłam - powiedziała Polly, otwierając oczy. - A niech to wszyscy diabli! Nie, nie! I tak bym nie chciała pocałować tego wstrętnego, nadętego faceta.

Joe Dillon był niebezpieczny. Tak dokładnie zniszczył spokój jej duszy i umysłu.

Poprzedniego dnia godzina relaksu w parku pozwoliła jej jakoś pogodzić się z tym, co stało się u Lincolna.

Zrozumiała, czym zdenerwowała tych uczniów, choć nadal nie czuła się winna. Ktoś powinien wcześniej powiedzieć jej, co może mówić, a czego nie powinna.

Dostała nauczkę i tyle. Kiedy jednak wróciła do kliniki, właściwie już o tym nie pamiętała.

O Joem Dillonie nie mogła jednak zapomnieć.

Szczególnie w nocy.

- A niech go wszyscy diabli - mruknęła.

Wypiła łyk herbaty i rozejrzała się po mieszkaniu. Z miejsca, gdzie siedziała, widziała salon, z kanapą, fotelem, fotelem bujanym i telewizorem... Sypialni i łazienki widać nie było.

Zazwyczaj bardzo lubiła tę porę dnia.

Ale nie dziś.

Dlaczego?

Bo wciąż czuła obecność Joego Dillona, tak bliską i rzeczywistą, że omal nie zaproponowała mu herbaty.

Dlaczego nie mogła przestać o nim myśleć?

Dlaczego nadal czuła na sobie jego ręce?

Dlaczego wciąż słyszała jego gardłowy śmiech, widziała jego kajmakowe oczy, szerokie ramiona, umięśnione nogi i... wspaniałe pośladki?

Dlaczego ten mężczyzna ma na nią taki zmysłowy, niepokojący wpływ?

- Sama chciałam to wiedzieć - znów powiedziała głośno i wypła ostatni łyk herbaty. - Mam już tego dość! Słyszałeś, Dillon? Wynoś się z moich myśli!

Poranek w klinice był bardzo pracowity, a poczekalnia przez cały czas pełna pacjentów.

Tuż przed południem wpadł do gabinetu bardzo zdenerwowany mężczyzna z owiniętą w różowy ręcznik kocicą. Ledwo zdążył położyć ją na stole, zwierzę bez trudu urodziło jedno po drugim trzy kociaki. Gorzej było z mężczyzną. Gdyby Polly nie podsunęła mu pod nos amoniaku, pewnie by zemdłał.

Potem Becky wyszła na obiad, a Polly na godzinę zajęła jej miejsce w recepcji.

Zajrzeli do niej Robert i Nancy, by sprawdzić, jakie wizyty czekają ich po południu.

Nagle zadzwonił brzęczyk przy drzwiach i ktoś wszedł do holu.

- Och, Robert - szepnęła wzruszona Nancy. - To dla mnie? Z jakiej okazji? Czyżbym o czymś zapomniała? Jakie piękne kwiaty...

- Ja... - zaczął Robert.

Posłaniec postawił na kontuarze wazon z ogromnym bukietem różnokolorowych kwiatów, a potem zajrzał do swojego notesu.

- Polly Chapman? - spytał.

Polly szeroko otwartymi oczami spojrzała na wspaniały bukiet. Wolno wstała i podeszła do kontuaru.

- Dla mnie?

- Owszem, jeśli nazywa się pani Polly Chapman - odparł chłopak.

- Nikt mi jeszcze nie przysłał kwiatów - powiedziała cicho Polly.

- No to teraz je dostałaś - ucieszyła się Nancy i szturchnęła Roberta w bok. - A ja?

- Wiedziałem, że będę miał kłopot - westchnął Robert. Polly podpisała pokwitowanie i chłopak wyszedł, pogwizdując fałszywie.

- Cudowne. - Polly zanurzyła twarz w bukiecie i wdychała woń kwiatów. - Co za zapach! Wiosenny, choć to listopad.

- Polly, jeśli nie otworzysz tej koperty, to umrę z ciekawości - powiedziała zniecierpliwiona Nancy.

- Anie uważasz, droga żono, że tożsamość jej wielbiciela nie powinna cię interesować? - zauważył Robert.

- Nie bądź idiotą. Polly jest jakby członkiem naszej rodziny. A więc interesuje mnie wszystko, co jej dotyczy... Otwieraj, Polly.



Polly oderwała od bukietu niewielką kopertę i wyjęła z niej karteczkę.

- O Boże - szepnęła, czując, że się rumieni.

- No, no! To musi być ktoś wyjątkowy - stwierdziła Nancy i zaglądając jej przez ramię, przeczytała na głos: -,„Przepraszam. Co powiesz na kolację? Zadzwońię. Joe". Joe? Kto to jest Joe? Za co przeprasza?

- Joe Dillon? - Robert był bardziej domyślny. - Z Abrahama Lincolna?

- Nnno... Ja... Tak... - wyjąkała Polly.

- Za co tak cię przeprasza? - dopytywała się nie zrażona Nancy. - Zrobił ci coś brzydkiego?

- Nie, nic - odparła szybko Polly. - Trochę się poróżniliśmy w sprawie mojego wystąpienia. No, wiecie, na temat tego, że powiedziałam tym dzieciakom, że Jazzy kosztuje parę tysięcy dolarów, a jej właściciele są w Europie i... Joe Dillon ma bardzo radykalne poglądy na... na pewne sprawy. To wszystko.

Na przykład na temat mojej pracy u was, dodała w duchu, na temat służenia bogatym i tak dalej.

- Ten twój Joe najwyraźniej bardzo się przejął waszym sporem - stwierdziła Nancy.

- On wcale nie jest mój - zaprotestowała Polly, czerwieniąc się jeszcze bardziej.

- Tak mi się tylko powiedziało. A jest chociaż przystojny?

- Niesamowicie. Wysoki, silny i męski. Ale to nie ma nic do rzeczy.

- Powiedzmy. Mam nadzieję, że ta kolacja to będą z jego strony przeprosiny. W co się ubierzesz?

- Nancy, wcale nie mówiłam, że przyjmę to zaproszenie.

- Czemu miałabyś go nie przyjąć?

- Bo mamy tak odmienne poglądy na wiele rzeczy, że tylko byśmy się jeszcze bardziej pokłócili - oznajmiła Polly i schowała kartkę do koperty.

Bo wciąż pamiętam, jak zareagowałam na jego dotyk, dodała w duchu.

Bo kiedy spojrzałam w jego kajmakowe oczy, poczułam, że tonę.

Bo przy nim czuję się kobietą.

- To po prostu staraj się tych tematów unikać.

- Co? Co takiego? - Polly otrząsnęła się z uporczywych myśli i wróciła do rzeczywistości.

- No, no! Coś mi się wydaje, że wpadłaś. I to po same uszy.

- Wcale nie! Nawet nie mogę powiedzieć, że go lubię.

- Bo źle się między wami zaczęło. No, wiesz, mówiłaś o cenie Jazzy i tak dalej. Teraz postaraj się takich tematów unikać i wszystko będzie dobrze.

- To chyba nie jest najlepszy pomysł - powiedziała w zamyśleniu Polly.

- Właśnie, że tak. Do tej pory traciłaś czas na spotkania z jakimiś smarkaczami, którzy tylko myślą o swej karierze i nie mają grosza przy duszy, by zaprosić cię na coś więcej niż pizzę i darmowy koncert w jakimś parku.

Ale przynajmniej nie są tak niebezpieczni! pomyślała Polly.

Przy nich nie tracę głowy. Nie marzę, by pójść z nimi do łóżka. Nie wyobrażam sobie małego domku z ogródkiem i gromadki kajmako-wookich dzieciaków.

Tak, Joe Dillon jest niebezpieczny.

- Polly? Jesteś tu z nami? - zainteresowała się Nancy.

- Co? A, tak, jestem. Trochę się tylko zamyśliłam.

- Zastanówmy się więc, co włożysz na tę randkę.

- Nancy, zostaw tę biedną dziewczynę w spokoju - skarcił żonę Robert. - Dlaczego miałyby spotkać się z facetem, którego nawet nie lubi?

- Nie, to może za dużo powiedziane - zdobyła się na szczerość Polly. - Owszem, nie podobają mi się jego poglądy na pewne sprawy. Był wobec mnie niegrzeczny, ale to moja wina. Nawet nie wyobrażacie sobie, jak strasznie te dzieciaki zareagowały. Nie czuję się winna, bo nikt mi nie powiedział, co mam mówić, a w szczególności czego nie wolno mi mówić. Ale z drugiej strony... Czy wyrażam się jasno?

Nancy i Robert zgodnie pokręcili głowami. Polly westchnęła.

- Tego się obawiałam. Naprawdę muszę się nad tym zastanowić. Joe obiecał, że w sprawie tej kolacji do mnie zadzwoni. Mam więc jeszcze trochę czasu na decyzję.

W tej chwili zadzwonił telefon. Polly omal nie wypuściła z ręki małej, białej koperty.

Robert spokojnie podniósł słuchawkę.

- Klinika weterynaryjna Dogwoodów - powiedział. - Polly Chapman? Tak, jest tutaj, Joe.

Serce Polly zabiło gwałtownie.

- Jeszcze nie podjęłam decyzji - szepnęła gorączkowo do Nancy. - Powiedz mu, że umarłam i zadzwonię później.

- Nie, porozmawiaj z nim teraz - zaprotestowała Nancy. - Rozmyślenia niczego tu nie zmieniają. Wysłuchaj, co Joe ma ci do powiedzenia, i zaufaj swemu kobiecemu instynktowi.

- Kiedy go rozdawali, stałam chyba w innej kolejce.

- Wcale nie. Masz go aż nadto, tyle że trochę przykurzony.

- Polly? - Robert wyciągnął w jej stronę słuchawkę. Polly niechętnie wzięła ją od niego i westchnęła ciężko, widząc, że ani Nancy, ani Robert nie mają zamiaru zostawić jej samej.

- Halo? - powiedziała głosem bardzo podobnym do skrzeczenia Jazzy.

- Polly? Mówi Joe Dillon. Dostałaś kwiaty?

- Tak, przed chwilą. Są piękne. Dziękuję.

- Naprawdę mi przykro, że tak się zachowałem. Kwiaty tego nie wymażą, ale chciałbym, żebyś potraktowała je jako próbę przeprosin.

A niech go wszyscy diabli wezmą, zaklęła w duchu Polly. Na dodatek jest jeszcze dżentelmenem.

- Ależ oczywiście. Mnie też zresztą trochę poniosło. I też cię przepraszam.

- Przeprosiny przyjęte. Teraz jesteście kwita. Możemy więc spokojnie zjeść razem kolację.

- Nie, naprawdę nie trzeba!

- Polly, źle mnie zrozumiałaś. Potraktujmy to spotkanie jako rozpoczęcie naszej znajomości na nowo.

- Ja...

- No, powiedzmy w piątek. Dobrze?

- POCO?

- Żebyśmy się mogli lepiej poznać w sympatyczniejszych okolicznościach. Pójdziemy w jakieś ciekawe miejsce, miło spędzimy parę godzin.

- Ja...

- Siódma trzydzieści?

- Chyba będzie...

- Znakomicie. Podaj mi swój adres.

Nie mogła mu odmówić. Pożegnała go słowami: do widzenia. Starła się nie widzieć pełnej zachwyty miny Nancy.

- Dlaczego ja to zrobiłam? - mruknęła. - Dlaczego, do jasnej cholery, umówiłam się z tym facetem?

- Dlaczego to zrobiłem? - zadał sobie to samo pytanie Joe, kiedy odłożył słuchawkę. - Dlaczego, do jasnej cholery, umówiłem się z tą dziewczyną?

Potrząsnął głową, spojrział na zegarek i szybko wstał z fotela. Wykorzystał przerwę obiadową, by wpaść do domu i zadzwonić, a teraz

musiał już wracać do szkoły. Chwycił z talerza jabłko i szybko wyszedł.

Wcale nie był z siebie zadowolony. Chciał przecież tylko przeprosić Polly za swoje zachowanie i nie miał pojęcia, dlaczego na dołączonej do kwiatów kartce znalazła się propozycja wspólnej kolacji.

- Dlaczego? - mruknął pod nosem i wyładował swoją złość, odgryzając ogromny kęs jabłka.

I w dodatku bardzo Polly namawiał na to spotkanie. Oboje przeprosili i przyjęli przeprosiny, po cóż więc ta kolacja?

Polly Chapman nie jest przecież w jego typie. Ani trochę. Dlaczego więc tak bardzo mu zależy, by znów się z nią spotkać?

Dziwne, bardzo to dziwne!

Przez następne kilka dni Nancy stale dopytywała się, co też Polly włoży na siebie, idąc na kolację z Joem Dillonem. Ta odpowiadała jej wzruszeniem ramion.

W piątek rano przycisnęła ją do muru. Zajęta czyszczeniem klatki Jazzy, Polly nie mogła się już wymigać.

- Masz już niewiele czasu, droga Polly. Przerwa obiadowa to ostatnia szansa, byś kupiła sobie coś wystrzałowego.

- Nie stać mnie na wystrzałowe ciuchy - mruknęła Polly, nalewając wodę do miseczki.

- Czyżby? Uważasz, że za mało ci płacimy? Polly, dlaczego nic nie mówiłaś? Zaraz to z Robertem załatwię.

- Nancy - przerwała jej Polly. - Płacicie mi dosyć. Regularnie dostaję podwyżki. Nie mam żadnych zastrzeżeń i nigdy ich nie miałam, prawda?

- A więc dlaczego nie stać cię na nową sukienkę? Czyżbyś przepuszczała forsy w jakimś kasynie? Mam rację, Jazzy?

- Mam rację, Jazzy? - powtórzyła po niej papuga. -Daj mi ptaka, Joe.

- Cicho, wstręciucho - skarciła ją Nancy. - Polly? Polly westchnęła.

- To bardzo proste, Nancy. Wiesz, że mam brata i siostrę.

- Tak, studiują na uniwersytecie.

- A to kosztuje. Ted i Megan pracują dorywczo w pizzerii, ale muszą przede wszystkim myśleć o nauce. Wiera coś o tym, bo sama studiowałam.

- A rodzice nie mogą im pomóc?

- Pomagają. Są cudowni, ale tata jest kierowcą autobusu, a mama kelnerką. Nigdy się u nas nie przelewało. Więc... więc i ja muszę pomagać rodzeństwu.

- Czemu nam o tym nie powiedziałaś? Pracujesz u nas już... Ile lat? Ponad dwa. Myślałam, że masz do nas zaufanie.

- Ależ mam, Nancy. Nie o to chodzi. Tak zawsze było i tak jest. Wszyscy traktujemy pomoc członkom rodziny jako coś normalnego.

- Rozumiem - powiedziała cicho Nancy. - Przepraszam, że tak uporczywie namawiałam cię na kupno nowej sukienki. Nie miałam pojęcia...

- Nie ma sprawy. Naprawdę. Mam zupełnie niezłą spódnicę i bluzkę, a kilka miesięcy temu kupiłam sobie na wyprzedaży bardzo ładny szal. Zresztą ta randka to jeszcze nie wydarzenie roku.

Akurat! To dlaczego tak dziwnie reaguje jej żołądek?

RS



## ROZDZIAŁ CZWARTY

Wieczorem Polly stała przed lustrem wiszącym na drzwiach jej sypialni i ledwo powstrzymywała się, by nie pokazać języka swemu odbiciu.

Wyglądała jak Cyganka. Kiedy kupowała te rzeczy, wydawały jej się zabawne i twarzowe. A dziś? Czy w takim stroju może pokazać się Joemu Dillonowi?

Spojrzała na zegarek i podbiegła do szafy.

- Czemu nie jestem Kopciuszkiem i nie znam jakiejś wróżki, która by o mnie zadbała? Przecież ja naprawdę nie mam co na siebie włożyć!

Nerwowo przesuwała wieszaki.

- Myśl! Wymyśl coś. I przede wszystkim pospiesz się!

Joe wszedł na podwórko i spojrzał na niski, stary budynek w kształcie podkowy. Dziwne! Polly ma przecież dobry zawód, pracuje w prywatnej klinice i na pewno stać ją na coś lepszego.

Tak jak i jego, ale on dokonał celowego wyboru.

A Polly?

Kiedy Joe zapukał do drzwi, Polly zerwała się na równe nogi, ale dopiero po chwili, kiedy jej oddech i serce nieco się uspokoiły, mogła otworzyć drzwi.

Joe stał w progu i po prostu milczał. Miał wrażenie, że w płucach zabrakło mu powietrza. Stał i patrzył.

Złote, jedwabiste loki okalały twarz Polly, podkreślając delikatne rysy twarzy. Ogromne oczy błyszczały jak dwa szafiry. Usta, różowe i pełne, błagały o pocałunek.

I ten strój! Joe z trudem przełknął ślinę.

Bładoróżowy jedwabny gorset, czarne spodnie, wysokie obcasy.

Kobiecość, stuprocentowa, zapierająca dech w piersiach kobiecość.

- Joe?

- Co? A. Cześć. Dobry wieczór. Wyglądasz... wyglądasz bombowo, Polly.

- Dziękuję - odparła. - Wejdiesz na chwilę?

- Tak, chętnie.

Kiedy wszedł do środka, Polly zamknęła za nim drzwi, ale zrobiła to bardzo, bardzo wolno. Ona też musiała dojść do siebie.

Widok Joego Dillona wytrącił ją z równowagi. W brązowym garniturze, krawacie i brązowej koszuli koloru jego oczu wyglądał jak mężczyzna marzeń każdej kobiety. Nawet Polly Chapman. A może przede wszystkim jej?

- Miłe mieszkanko - rzekł Joe, rozglądając się dokoła. Ale dlaczego jest takie małe i ubogie, choć bez wątpienia czyste i zadbane? - Bardzo miłe.

- Lubię je. Jest przytulne. A przede wszystkim moje. Moje pierwsze mieszkanie.

- W czasie nauki mieszkałaś z rodzicami?

- Tak. Mój brat i siostra, bliźnięta, też z nimi mieszkają. Studiują na uniwersytecie. Rodzice są bardzo dumni, że cała trójka ich dzieci chciała się kształcić.

- Wcale im się nie dziwię. Oboje pracują?

- Tak. Czemu pytasz?

- Bez powodu. - Joe wzruszył ramionami. - Gotowa?

- Tak. Wezmę tylko torebkę i... i szal.

Polly zniknęła w sypialni... Potrzebowała choćby chwili samotności.

Joe stwierdził, że wygląda super. Gdyby wiedział...

W akcie desperacji, godzinę przed jego przyjściem, wykroiła ten gorset z halki, którą dostała na Gwiazdkę od ciotki.

Narzuciła na ramiona blad różowy, koronkowy szal, modląc się w duchu, by Joe nie zechciał skorzystać z toalety. Mógłby zauważyć, że w oknie nie ma zasłony... bo wybiera się ona z nim na kolację. Na ramionach Polly.

Kiedy szli już przez podwórko, Joe poinformował Polly, że zarezerwował stolik w pewnej restauracji u podnóża gór, na północno-zachodnim skraju miasta.

Kiedy padła jej nazwa, Polly zorientowała się, że wybierają się do jednej z najdroższych restauracji w mieście, i była rada, że strój Cyganki zmieniła na coś bardziej wytwornego.

Auto, do którego Joe ją podprowadził, było ciemnoniebieskie, sportowe i całkiem nowe.

Polly usiadła wygodnie na przednim siedzeniu i wciągnęła głęboko do płuc zapach świeżej skóry.

- Ależ tu ładnie pachnie.

- Tylko tyle masz do powiedzenia o moim wspaniałym aucie? - roześmiał się Joe. - Nie czytałaś w pismach kobiecych, że samochód to dla mężczyzny ukochana zabawka i że każdy facet lubi, kiedy kobieta się nim zachwyca?

- Nie, chyba o tym nie czytałam - uśmiechnęła się Polly. - Byłam raczej ciekawa, czy nie boisz się, że ci go ukradną? Szczególnie tam, gdzie mieszkasz, nie byłoby to takie dziwne.

- Wynajmuję garaż niedaleko domu. A tak szczerze mówiąc, nie mam fioła na punkcie samochodów. Po prostu uważam, że w Tucson ruch jest już tak duży, że porządne auto jest niezbędne. A ty nie boisz się jeździć tym swoim vanem?

Polly wzruszyła ramionami.

- Niespecjalnie. Dowozi mnie tam, gdzie chcę... wcześniej lub później. Ojciec i brat dbają o niego, jak mogą. Najważniejsze, że staruszek wciąż jeździ. Zresztą na nic lepszego mnie nie stać.

Joe spojrział na nią spod oka.

- Nie obrażaj się. Przepraszam. Nie powinienem cię tak wypytywać. Czy zauważyłaś, jak piękne jest dziś niebo? Ile na nim gwiazd?

Polly z wdzięcznością przyjęła tę zmianę tematu. Niebo było rzeczywiście zachwycające.

A ona miała u swego boku bardzo przystojnego mężczyznę i postanowiła się tym po prostu cieszyć.

Rozmawiali więc swobodnie o pogodzie, meczach miejscowych drużyn i najnowszym bestsellerze.

Z każdym kilometrem Polly czuła się coraz bardziej jak Kopciuszek, który ma przed sobą cudowną noc.

Na parkingu przed restauracją Joe wręczył kluczyki parkingowemu i poprowadził Polly do środka. Elegancki kelner posadził ich przy zarezerwowanym stoliku i wręczył im karty dań.

Kiedy Joe studiował menu, Polly z pełnym niedowierzaniem zachwytem rozglądała się po wnętrzu.

Było ogromne, wszystko w nim błyszczało - szkło, zastawa, kryształowe kandelabry.

Jej mina świadczyła o tym, że w takim miejscu jest po raz pierwszy..

Dlaczego? Czy nigdy żaden mężczyzna nie zaprosił jej na kolację, na koncert, do teatru? Czyżby on był pierwszy? Taki książę z bajki?

Na tę myśl Joe aż się skrzywił. Skąd mu coś takiego wpadło do głowy? Jemu, który zawsze tak mocno stąpa po ziemi?

- Polly? - zwrócił się do niej, kiedy do stolika wrócił kelner. - Wybrałaś już coś?

- Hm? O, przepraszam. Nawet nie spojrzałam do karty. Chyba po prostu wezmę to co ty.

- Na pewno? Nie musimy się spieszyć.

- Nie, nie. Zdaję się na twój gust...

Joe wybrał wino, zamówił steki, pieczone kartofle i sałatę.

Rozkładając na kolanach bladozieloną, płócienną serwetkę, Polly zauważyła, z jak doskonałego i cienkiego jest ona materiału. Jej matka nigdy czegoś takiego nie miała, a tak lubiła ładne rzeczy. Mimo że w domu się nie przelewało, zawsze dbała, by choć najskromniejszy posiłek był elegancko podany.

- Polly? - zagadnął Joe, kiedy kelner odszedł. - Wszystko w porządku?

Polly, wyrwana z zamyślenia, uśmiechnęła się lekko.

- Tak, oczywiście. Zachwycam się właśnie tą piękną serwetką.

- Serwetką?

- Materiał jest znakomity, a ten haft... Kiedyś wiedziałam, jak się nazywa. I kolor... jak świeże liście mięty. Idealnie pasuje do tego wnętrza.

Joe wsparł się łokciami o stół i nachylił ku Polly.

- Mówisz poważnie? - spytał.

- Nie rozumiem? - Polly była wyraźnie zaskoczona jego pytaniem.

- Siedzisz tu i zachwycasz się jakością, kolorem i haftem na jakiejś serwetce.

Polly dumnie uniosła głowę.

- Po prostu uważam, że serwetki...

- Chwileczkę. - Joe powstrzymał ją ruchem ręki. - Wcale się z ciebie nie śmieję. Ten twój zachwyty nad czymś tak zwyczajnym jak serwetka jest niezwykle wzruszający. Naprawdę.

- Aha. - Polly nie była już ani trochę zła.

- Jeszcze nigdy kogoś takiego jak ty nie spotkałem - rzekł Joe, patrząc prosto w jej błękitne oczy. - To komplement, nie zarzut. Tyle razy jadłem w tej restauracji i nawet nie zauważyłem tych serwetek, - Joe rozejrzał się dokoła. - Zresztą w ogóle niczego. To bardzo ładne wnętrze, prawda?

- Piękne - przyznała prawie szeptem Polly. - Jak z jakiegoś kolorowego magazynu czy wręcz z filmu.

Wielkie nieba! Polly nie była w stanie nawet oddychać. Serce waliło jej w piersi jak oszalałe, w uszach dudniło. I to wszystko przez te jego niesamowite oczy.

Tak, to było pożądanie - w najczystszej formie.

Całą siłą woli udało jej się oderwać wzrok od Joego. Znowu skoncentrowała się na leżącej na jej kolanach serwetce.

Nie czuła się dobrze w tym eleganckim wnętrzu, w towarzystwie takiego mężczyzny, w tak dziwnym stroju, jeśli halkę i zasłonę można w ogóle nazwać strojem.

Dlaczego się tu znalazła? Czy kolacja z potrawami o cenach równych jej całotygodniowym wydatkom na jedzenie oznacza, że będzie musiała pójść do łóżka z mężczyzną, który zapłaci rachunek?

Akurat! Mowy nie ma! Zaraz powie temu pewnemu sobie, niesamowicie seksownemu panu Dillonowi, że nie ma na co liczyć.

Podniosła wzrok, by spojrzeć na Joego. Nie zauważyła zbliżającego się kelnera.

- Chcę, żebyś wiedział - zaczęła, z nadzieją iż uda jej się skończyć - że jeśli spodziewasz się, że pójdę z tobą do łóżka....

- Pańskie łóżko - rzekł w tej samej chwili kelner, lecz natychmiast się zreflektował. - Przepraszam, pańskie wino - poprawił się szybko.

Polly zarumieniła się.

- Wielki Boże - westchnęła.

Joe spojrzał na nią szeroko otwartymi oczami, potem na butelkę trzymaną przez kelnera i znów na Polly.

- Proszę pana? - przypomniał o sobie kelner.

- Co takiego? A tak! Nie będę próbował. Niech pan nalewa.

- Dziękuję.

Kelner napełnił gościom kieliszki, postawił butelkę na stole i nie mogąc się już powstrzymać, parsknął śmiechem.

- Miłego wieczoru - rzekł.

Joe tylko kiwnął mu głową. Kiedy kelner odszedł, dotknął ramienia Polly.

- Hej, jesteś tu?

- Nie. - Polly ani drgnęła. - Nie ma mnie. Jestem w domu, sama, zwinięta na kanapie z książką. I wcale nie zrobiłam z siebie idiotki w najbardziej picerskiej restauracji. Zostaw mnie! Joe uśmiechnął się.

Polly, Polly! Taka urocza, szczerą, prawdziwa i naturalna. Rzeczywiście jest pierwszy raz w takim miejscu. I nie wie, jak powinna się zachować.



Domyślił się nawet, co chciała mu powiedzieć - że dla niej zaproszenie nawet do takiej restauracji nie wiąże się z późniejszym pójściem do łóżka.

Nawet mu to do głowy nie przyszło! Nie śmiałyby jej czegoś takiego zaproponować.

Jest taka delikatna, taka krucha. Tak łatwo ją zranić.

Wiedział, że musi ją o tym przekonać, gdyż od tego zależy dalsza ich znajomość. Bo tego jednego był pewien - że ten wspólny wieczór nie może być ostatnim.

- Polly, spójrz na mnie.

- Nie.

- Proszę.

Polly westchnęła, podniosła głowę i opuściła ręce na kolana. Była wyraźnie załamana.

- Zapomnij o tym, co się stało - rzekł Joe najłagodniej, jak umiał. - Wiem, co chciałaś mi powiedzieć. Zjemy sobie kolację, porozmawiamy, a potem odprowadzę cię do domu i grzecznie pożegnam. Zgadzasz się?

- Tak. - Polly znów ciężko westchnęła. - Przepraszam, że się tak głupio zachowałam przy kelnerze. Pewnie myślisz, że straszny ze mnie dzieciak i nie umiem się znaleźć...

- Myślę, że jesteś cudowną, szczerą i uroczą kobietą - przerwał jej Joe i podniósł do góry kieliszek. - Wypijemy za resztę naszego wieczoru?

Po chwili wahania Polly też podniosła kieliszek.

- Dobrze - uśmiechnęła się. - Dziękuję ci, Joe. Bardzo ci dziękuję.

Spoglądając na siebie znad cieniutkich kieliszków, oboje wypili łyk wina. Była to chwila szczególna: chwila zrozumienia, porozumienia i zaufania. A także pożądania...

Przerwał ją kolejny kelner. Podjechał wózkiem, na którym stały talerze, przykryte srebrnymi kopułami. Stawiając je przed Polly i Joem, z dumą recytował nazwy potraw.

Kiedy znów zostali sami, Joe parsknął śmiechem.

- Ciebie też rozbawił ten rytuał? - spytał. - Ten kelner traktował nas, jakbyśmy byli przybyszami z obcej planety i nie mieli pojęcia, że ta gorąca kulka to kartofel.

Polly skinęła głową.

Ona tak właśnie się czuła: jakby nagle znalazła się na innej planecie.

Ale dzięki Joemu, dzięki jego serdeczności i pogodnemu uśmiechowi, bardzo jej się tu podobało.

- Mm, pycha - oznajmiła, wkładając do ust kawałek kartofla. - Zauważyłam, że w szkole niektórzy uczniowie nazywali cię trenerem. Jaki sport uprawiasz?

- Koszykówkę. Zaczął się już sezon i pierwsze cztery mecze wygra-  
liśmy.

- Naprawdę? To fantastyczne. Musisz być znakomitym trenerem.

Joe wzruszył ramionami.

- Jakoś sobie radzę, Ale prawda jest taka, że w moich wychowankach drzemie ogromny talent. Masz pojęcie, Polly, jak można go wykorzystać?

- Tak, chyba tak...

- Jeśli sprawię, że w końcu w siebie uwierzą - kontynuował z przejęciem Joe - i jeśli im w tym pomogę, to może będą umieli powstrzymać się od brania narkotyków i kradzieży. Dla niektórych sportowe stypendium może być szansą ucieczki z tego getta. Pracuję już z nimi dziesięć lat i wiem, że to możliwe. Ja... - nagle przerwał i spojrzał na Polly niepewnie. - Przepraszam, zachowuję się jak chwalipięta.

- Nie, nie przepraszaj. Wiem, że jesteś oddany swojej pracy, że ci na tych dzieciakach zależy. Uważam, że jesteś wspaniałą i że twoi uczniowie mają szczęście, bo zajmuje się nimi człowiek wyjątkowy. Myślę tylko, że... Eee, nieważne.

- Co myślisz? Powiedz?

- Nie powinnam się wtrącać. Wiem, że to nie moja sprawa, ale... pomyślałam, że dajesz swoim uczniom całego siebie. Przecież nawet zamieszkałeś tam, gdzie oni żyją, żeby ich lepiej rozumieć.

- I? - Joe był szczerze zainteresowany.

- A gdzie jest miejsce na twoje sprawy, twoje życie? Nie masz żadnych marzeń, nadziei, potrzeb ani pragnień? Nie tęsknisz za rodziną, za żoną i dziećmi? Za jakimś ładnym domkiem, w którym mógłbyś wychowywać swoje własne potomstwo?

- Nie - burknął Joe, - Jestem zadowolony z mojego życia takiego, jakim jest.

- Skoro tak mówisz... - Polly wzruszyła ramionami.

- Tak właśnie mówię. To, co robię, jest na pewno lepsze niż niańczenie jakichś ptaków, które z nudów dziobią ludzi w tyłek.

- Chwileczkę, mój drogi - zaprotestowała Polly. -Rozmawiamy o twoim życiu, nie o moim. Ja...

- Joe, najdroższy - przerwał jej jakiś damski głos. -Sto lat cię nie widziałam.

Polly i Joe spojrzeli na zbliżającą się ku nim bardzo atrakcyjną, trzydziestoparoletnią kobietę. Ubrana była w elegancką, długą białą suknię. Ramiona damy okrywała futrzana etola.

O cholera! zaklął w myślach Joe.

Kim jest ta kobieta? pomyślała Polly.

Joe wstał i przyjął od pięknej pani leciutki pocałunek w policzek.

- Witaj, Celine - rzekł. - Poznaj Polly Chapman.

- Miło mi - rzuciła tylko Celine w stronę Polly i skupiła się na Joem.

- Ty wstręciuchu, znów się ukrywasz! Czy jest jakiś sposób, by cię wyciągnąć z tego twojego ponurego świata?

- Celine... - próbował jej przerwać Joe.

- Na balu u gubernatora spotkałam twoich rodziców.

Wciąż na ciebie narzekają. Posłuchaj, między Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem całą naszą paczką lecimy samolotem Ricky'ego do Aspen na narty. Obiecuj, że pojedziesz z nami. Pamiętasz, jak dobrze się tam bawiliśmy?

- Celine, ja...

- Nie odmawiaj. - Celinę wydeła usta. - Obiecuj, że się zastanowisz. Wiesz, Buffy ciągle zachwyca się twoim jachtem. Do dziś nie rozumiem, czemu go sprzedałeś. No, muszę lecieć. Zjemy niedługo razem

obiad, co? Może w jachtklubie? Pa, kochanie. Miło było cię poznać, Molly.

- Polly - sprostowała odruchowo oszołomiona Polly. Narty w Aspen, prywatny samolot! Bal u gubernatora!

Ricky i Buffy. Jacht. Obiad w klubie.

Jak należy to rozumieć?

Wytłumaczenie może być tylko jedno.

Joe Dillon wciąż jest członkiem elity społecznej tego miasta.

I najwyraźniej jest bardzo bogaty.

RS

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Joe opadł na krzesło, wykończony jak po ciężkiej walce bokserskiej. Zmęczyło go niespodziewane spotkanie z Celiną i jej paplanina, ale także uświadomił sobie, że Polly słyszała każde słowo. Wie teraz o nim rzeczy, o których wcale nie zamierzał jej mówić.

Cholera, mruknął pod nosem i rozluźnił krawat. Zrozumiał już, że nie ma co liczyć na miły wieczór. Polly na pewno zasypie go pytaniami, on się rozzłości, będzie się bronił i całe jego wcześniejsze wysiłki na nic się nie zdadzą.

Niepewnie spojrzał na Polly, gotowy do defensywy. O dziwo, okazało się, że jego towarzyszka pochłonięta jest grzebaniem widelcem w miseczce sałaty. Czyżby szukała tam jakiegoś skarbu?

- Polly?

- Hm? - Polly odsunęła na bok kawałek pomidora.

- Pewnie chciałabyś, żebym wyjaśnił ci niektóre rzeczy, o których wspominała Celinę?

- O, mam - powiedziała Polly. - Tak mi się wydawało, że gdzieś tu był plasterek rzodkiewki.

Nadziała odnaleziony plasterek na widelec i z wyraźnym zadowoleniem włożyła do ust.

- Uwielbiam rzodkiewki - oznajmiła. - Są takie świeże i chrupkie. Moja mama umie je tak nacinać, że wyglądają jak kwiaty, ale mnie się to nigdy nie udało.

- Polly? - powtórzył Joe, nachylając się w jej stronę. - Mówiłem o Celinę.

- O Celinę? A, tak. Bardzo jest ładna, a jej suknia i futro kosztowały pewnie więcej, niż ja zarabiam przez cały rok. Nie podobało mi się jednak, że nazwała mnie Molly zamiast Polly. To, że jest taka piękna, nie znaczy, że może być niegrzeczna. Polly to nie jest imię trudne do zapamiętania. Można by się było spodziewać, że ktoś taki jak Celinę...

- Możesz przestać? - prawie krzyknął Joe i, zawstydzony, rozejrzał się dokoła. - Nie rozmawiamy o cenie sukienki Celinę ani o jej manierach.

- Chyba w ogóle nie ma o czym mówić. Spotkałeś starą znajomą, poćwierkaliście sobie i piękna pani się pożegnała. I tyle. Jeśli uważasz, że warto tu o czymś jeszcze rozmawiać, to powiedz.

- Nie wygłupiaj się - rzekł Joe, rozpierając się wygodnie na krześle.  
- Na pewno masz milion pytań.

- No, może jedno - odparła w zamyśleniu Polly.

- Wiedziałem. Pytaj.

- Czy jakakolwiek rozsądna kobieta mogłaby dać swej córce na imię Buffy?

- Dość żartów, Polly. Do rzeczy. Jestem bogaty. Nasza rodzina ma mnóstwo forsy. Moi rodzice są przekonani, że wszystkie problemy da się załatwić dzięki pieniądзом. Nie chcą cię nawet słuchać, tylko machają książeczką czekową i pytają, ile ci trzeba.

- To bardzo smutne - szepnęła Polly.

- Przyznam, że kiedy miałem kilkanaście lat, bardzo mi się to wszystko podobało - ciągnął Joe, nie zwracając uwagi na komentarz Polly. - Miałem wspaniałe auto, mnóstwo ciuchów, sprzęt grający. Wszystko, o czym chłopak w tym wieku może marzyć. Teraz już wiem, że rodzice mnie kochali, tyle tylko, że od dziecka traktowali mnie jak dorosłego. Po prostu inaczej nie umieli ze mną postępować.

- Biedactwo - zasmuciła się Polly.

- Robiłem to, czego się po mnie spodziewano. Zacząłem studiować prawo, żeby zostać adwokatem jak ojciec. Zaręczyłem się z koleżanką Celinę, dziewczyną, jak to mówią, z naszego środowiska. Potem...

Joe zamilkł i pogrążył się we wspomnieniach. Polly wpatrywała się w niego uważnie. Bardzo mu współczuła. Musiał być bardzo smutnym, samotnym dzieckiem. Otoczony najdroższymi zabawkami, nie miał jednak nikogo, kto by go przytulił i porozmawiał o jego troskach.

- Nagle pewnego lata - wznowił opowieść Joe - pod wpływem jakiegoś impulsu zgłosiłem się na ochotnika, by trenować drużynę koszykarzy z biednych dzielnic. Wtedy wszystko się zmieniło. Wszystko! Nagle znalazłem się w świecie, którego istnienia nawet nie podejrzewałem. I zrozumiałem, że tylko tam jest prawdziwe życie.



Polly uznała, że Joe trochę przesadza i postrzega wszystko wyłącznie w czarnych i białych barwach. Dla niego łupcie są albo bardzo bogaci, albo bardzo biedni. Miała wrażenie, że nie uznaje istnienia klasy średniej.

- Wtedy już nic nie było w stanie mnie powstrzymać. Zmieniłem kierunek studiów, zająłem się pedagogiką. Rodzice byli wściekli, narzeczona zerwała zaręczyny, oznajmiając, że nie ma zamiaru żyć z nauczycielskiej pensji. A ja nigdy do tej pory nie żałowałem podjętej wówczas decyzji.

Joe westchnął i potrząsnął głową.

- Mimo upływu tylu lat rodzice wciąż mają nadzieję, że się opamiętam. Bez przerwy mnie o to proszą. Kiedy się z nimi spotykam, staram się jakoś opanować, bo przecież człowiek rodziców nie wybiera. Czasami, żeby zrobić im przyjemność, chodzę z nimi na imprezy towarzyskie. Za każdym razem spotykam kogoś takiego jak Celinę, kto od razu wyobraża sobie, że wróciłem na łono rodziny. A ja... No, dość już tych zwierzeń...

- Dlaczego? Mów dalej.

- Nigdy jeszcze przed nikim się tak nie wywnętrzałem - mruknął Joe, marszcząc brwi. - Sam nie wiem, czemu ci to wszystko opowiadam.

- Może dlatego, że cię słucham, Joe - powiedziała cicho Polly. - Naprawdę słucham tego, co mówisz.

Joe spojrzał prosto w jej błękitne oczy.

- Tak. Chyba rzeczywiście dlatego. Jesteś dobrą słuchaczką, Polly. Czuję się idiotycznie, tak ci się zwierzę, ale... W każdym razie dziękuję ci. Myślisz, że uda nam się jeszcze uratować ten wieczór? - spytał po chwili.

- Na pewno - uśmiechnęła się Polly. - Pogrzebię w tej sałacie i zobaczę, czy uda mi się znaleźć następny plasterk rzodkiewki.

Rzeczywiście nie była to ani pora, ani miejsce na poważną dyskusję o stylu życia Joego, na udowadnianie mu, że przesadza. Jest tak drażliwy, że skończyłoby się to kolejnym śnięciem.

Joe zupełnie stracił apetyt i bezmyślnie rozgrzebywał widelcem resztki zimnego już dania.

Jezu, pomyślał, co się ze mną dzieje? Dlaczego o tylu sprawach jej opowiedziałem?

A najgorsze było to, że poczuł wyraźną ulgę, mogąc podzielić się z Polly swymi frustracjami.

Polly naprawdę go słuchała, naprawdę słyszała to, co mówił, i wcale go nie krytykowała. To chyba jest to, co ludzie nazywają porozumieniem i pokrewieństwem dusz. Bardzo, bardzo przyjemne odczucie.

Wszystko to jednak nie wyjaśniało motywów jego postępowania. Wciąż nie rozumiał, czemu to Polly powiedział. Czyżby ta wspaniała kobieta rzuciła na niego jakiś czar?

Lepiej uważaj, Dillon.

Zazwyczaj w towarzystwie samotnych kobiet Joe miał się na baczności. A z Polly? Jest taka otwarta i szczerą, tak niepodobną do ludzi, wśród których się wychował.

Przy niej może czuć się sobą, prawdziwym Joem Dillonem.

Tak, musi być ostrożny. Wstąpił na grząski grunt. Jego serce jest zagrożone.

A na to nie może sobie pozwolić. Mowy nie ma!

W milczeniu, przerywanym chwilami swobodną rozmową, wypili kawę i po kieliszku jakiejś znakomitej brandy.

Za szybko, zdecydowanie za szybko kończy się to spotkanie, pomyślała Polly, kiedy opuścili przytulną restaurację i jechali w stronę jej domu. Pragnęła, by jej noc Kopciuszka trwała w nieskończoność.

Jej szalowa bluzka okaże się zwyczajną halką, a szal zasłoną z łązienki. A ona... ona będzie znów Polly Chapman, opiekunką papug i pudli, którym dostarczają jedzenie z restauracji.

Nie, to niesprawiedliwe! Naprawdę wcale nie myśli w ten sposób o swojej pracy. Jazzy i Pookie nie są jej jedynymi pacjentami. Jest dyplomowanym technikiem weterynarii, a jej zajęcia zgodne są z jej fachowym wykształceniem. Czuje się szczęśliwa i zadowolona! Jest pożyteczną i ważną pracownicą kliniki weterynaryjnej Dogwoodów.

Polly spod oka spojrzała na Joego.

To jego wina, że oddaje się tak ponurym myślom. Dał jej jasno do zrozumienia, że uważa, iż się sprzedała bogaczom i nie zwraca długu, który zaciągnęła wobec środowiska, z którego pochodzi.

Nie, dość tego! Będzie się cieszyła tą cudowną nocą i nie da się wyprowadzić z równowagi.

Nieważne, co Joe Dillon sobie myśli. Pewnie już go nigdy więcej nie zobaczy. Przecież przyzwyczajony jest do takich kobiet jak Celinę. Nie, na pewno już nigdy się z nim nie spotka, więc będzie się cieszyć resztą czasu, jaki im pozostał.

- Tak - powiedziała i podkreśliła to zdecydowanym kiwnięciem głową.

Joe obrzucił ją szybkim spojrzeniem.

- O czym mówisz? - spytał.

- O, nie zorientowałam się, że mówię do siebie. Zamyśliłam się po prostu.

- No, no, a mógłbym może wymyślić do tej odpowiedzi jakieś pytanie?

- Mowy nie ma - roześmiała się Polly.

- Szkoda.

- Przykro mi, trenerze, ale nie można wygrywać wszystkich meczów. Choć jeśli chodzi o koszykówkę, życzę wam jak najwięcej wygranych. Zaczęliście przecież nieźle.

- Owszem - przyznał Joe, parkując samochód przed domem Polly.

Kiedy odprowadzał swoją towarzyszkę do drzwi, objął ją ramieniem i przytulił do siebie.

- Cudownie się bawiłam, Joe - powiedziała cicho Polly. - Dziękuję ci.

- To ja ci dziękuję. To był wspaniały wieczór. Daj klucz - poprosił, kiedy stanęli przed jej mieszkaniem. Polly podała mu klucz, a Joe otworzył drzwi. Przez chwilę stali w bezruchu.

- Pomyślałem sobie, że może chciałabyś zobaczyć moich chłopaków w akcji - rzekł Joe. - Nie proponowałbym, żebyś jechała sama do Lincoln, ale jutro gramy w szkole w tej części miasta. Interesuje cię to?

- Bardzo - odparła z uśmiechem Polly. - O której?

- Zaczynamy o ósmej. Nie będę mógł po ciebie przyjechać, bo muszę być z drużyną.

- Jasne. Przyjadę i będę wam kibicować. Joe ujął jej twarz w swoje duże dłonie.

- To dobrze. To bardzo dobrze.

Najpierw tylko musnął wargami jej usta, po chwili jednak złączyli się w prawdziwym, namiętym, długim pocałunku.

Polly miała wrażenie, że na tę chwilę czekała całą wieczność. Było to jak spełnienie najpiękniejszego snu. Tamtego snu, w którym razem tańczyli walca.

Joe czuł coś, czego jeszcze nigdy w życiu nie doświadczył. Te godziny spędzone z Polly były niesamowite, niewiarygodne, fantastyczne. Wciąż go zaskakiwała, oczarowywała na nowo swoimi nieoczekiwanymi reakcjami. Była taka szczerą, otwartą, dobrą.

Pragnął jej z mocą, o jaką nigdy by siebie nie podejrzewał.

Równocześnie jednak chciał ją chronić, bronić jej, opiekować się nią. Wzruszała go delikatność i kruchość tej dziewczyny.

Wiedział jednak, że musi chronić ją także przed sobą. Wolno, jakby wbrew sobie, zakończył pocałunek.

- Polly - szepnął. - Obiecałem, że odprowadzę cię do drzwi i pożegniam się z tobą. Pamiętasz?

- Hm?

Joe ujął ją za ramiona i odsunął od swojego płonącego pożądaniem ciała.

- Muszę dotrzymać tej obietnicy. To bardzo ważne.

- Naprawdę? - spytała Polly, wciąż jeszcze lekko oszołomiona. - O, tak. Oczywiście. Ale właściwie dlaczego to takie ważne?

Joe uśmiechnął się.

- Bo zawsze dotrzymuję obietnic.

- To dobrze o tobie świadczy.

- Ale to nie jest jedyny powód. - Joe spoważniał i delikatnie przesunął kciukiem po wilgotnych wargach Polly. Poczuł, że zadrżała. - Byłaś pewna, że zaprosiłem cię do takiej drogiej restauracji tylko dlatego, że mam zamiar cię uwieść. Nie mogę więc zrobić niczego, co by choć trochę uzasadniało twoje obawy. Rozumiesz?

- Tak - szepnęła z uśmiechem. - I dziękuję.

- To ja powinienem ci dziękować. - Joe kiwnął głową i też się uśmiechnął. - Zasluguję za to na medal za dobre sprawowanie. Doprowadza mnie pani do szaleństwa, panno Chapman. - Znów spoważniał. - Naprawdę bardzo cię pragnę, Polly, i jestem pewien, że o tym wiesz.

- Ja...

- Ćśśś - uciszył ją krótkim pocałunkiem. - Zobaczymy się jutro wieczorem. Na meczu.

- Tak - szepnęła Polly.

- Dobranoc.

Polly skinęła głową, weszła do mieszkania i lekko zatrzęsnęła za sobą drzwi.

Joe odszedł dopiero po chwili.

Uff, ile w tej drobnej kobietce jest seksowności, pomyślał. Wciąż czuł przyciśnięte do siebie jej ciało. Jego męskość nie wróciła jeszcze do stanu równowagi.

O, tak, pragnął Polly Chapman.

Cały płonął pożądaniem.

Wsiadł do auta, ale nie od razu zdecydował się ruszyć.

Dlaczego zaprosił ją na jutrzejszy mecz? I dlaczego odczuł taką ulgę... taką radość, kiedy Polly przyjęła jego zaproszenie? Dlaczego tak bardzo mu zależało, by dobrze o nim myślała? Dlaczego musiał jej udowodnić, że zawsze dotrzymuje obietnic?

Cholera, cholera, cholera!

Co ta Polly z nim zrobiła?

Jezus Maria, myślała z przerażeniem Polly, odwieszając na miejsce łazienkową zasłonę, czemu ja się zgodziłam pójść na ten mecz? Dlaczego bez zastanowienia przyjąłam zaproszenie Joego?

Westchnęła, rozprostowała zasłonę, dziękując jej za tak znakomite odegranie roli szala i zaczęła szykować się do spania.

Kiedy w końcu wsunęła się pod koc, natychmiast zgasiła lampkę i zapatrzyła się w niewidoczny w ciemnościach sufit.

Jeszcze niedawno była pewna, że już nigdy więcej nie zobaczy Joego Dillona. A teraz? Teraz wie, że spotka się z nim nazajutrz. Czy to

dobry pomysł? Przecież zdaje sobie sprawę, jak niebezpieczny to człowiek.

Musnęła palcami wargi, wspominając jego niedawny pocałunek.

Nigdy, jeszcze nigdy w życiu nie czuła tak wszechogarniającego pożądania. Pragnęła Joego Dillona, chciała się z nim kochać całymi nocami.

Boże, Boże, Boże!

Polly ułożyła się na brzuchu i zanurzyła twarz w poduszkę. Długo jednak musiała czekać na sen.

- Sędzia kalosz! - krzyczała oburzona Polly. Siedząca obok stojącej Polly dziewczyna szarpnęła ją za bluzę.

- Niech pani lepiej siada - powiedziała. - Bo inaczej za chwilę wszystkich nas stąd wyrzucą.

- O, przepraszam! - Polly posłusznie przysiadła na drewnianej ławeczce. - Ale sama widziałaś, Debbie, prawda? - zwróciła się do swojej nowej znajomej. - Ten sędzia naprawdę jest ślepy. Jeszcze jeden taki numer i chyba go uduszę!

Siedzący po jej drugiej stronie chłopak parsknął śmiechem.

- Lepiej nie, błagam - poprosił.

- Dobrze, dobrze - poddała się Polly. - Już będę grzeczna - obiecała, - Będę kulturalnym, opanowanym, dorosłym kibicem. Nie przyniosę wam wstydu.

Teraz roześmiała się i Debbie.



- Jak na dorosłą jest pani naprawdę w porządku.

- Dziękuję.

- A więc pani od ptaka jest teraz panią od naszego trenera. Super!

Mnie się to podoba.

- Jerome, nie wygłupiaj się - zaprotestowała zarumieniona Polly. - Nie jestem panią trenera Dillona. Po prostu Joe zaprosił mnie na mecz. Chciał, żebym zobaczyła jego ukochaną drużynę w akcji. Poszliśmy razem na kolację i nagle wpadło mu to do głowy.

- Jest pani jego kobietą - powiedziała teraz z kolei Debbie. - Jednak na pani miejscu nigdy bym nie zamieszkała w tym jego obskurnym domku. Mowy nie ma! Kiedy Jerome i ja się pobierzemy, nikt nas tu już nie zobaczy. W ogóle nie rozumiem, czemu nasz trener tu mieszka.

- Nie rozumiesz? - Polly była szczerze zdziwiona.

- Pewnie, że nie - rzekł Jerome, więc Polly spojrzała na niego. - Gdybym zarabiał tyle co on, natychmiast zamieszkałbym z Debbie w którejś z tych lepszych dzielnic. Nikt z nas nie ma pojęcia, czemu trener żyje w tym getcie.

- Mówiliście mu o tym? - spytała Polly.

- Nigdy w życiu! Tu u nas nikt nie ma zwyczaju wtrącać się w czyjeś sprawy. Wie pani, co mam na myśli?

- Ale jego kobieta może się wtrąci, prawda, Jerome? - zauważyła Debbie.

- Zgadza się. Ty przecież też się wtrącasz w moje sprawy.

- Bo mam do tego prawo. Lepiej, byś o tym pamiętał. No, patrzcie, znowu mamy dwa punkty więcej.

Polly rzuciła tylko okiem na boisko, potem przeniosła spojrzenie na Joego. Siedział dość daleko, ale dokładnie widziała jego profil. Pochylony do przodu, z łokciami wspartymi o kolana, nie odrywał wzroku od graczy.

Czy naprawdę nie zdaje sobie sprawy, co myślą o nim jego uczniowie?

Całe jego poświęcenie okazało sienie niewarte. Te dzieciaki wcale nie miałyby o nim gorszej opinii, gdyby mieszkał w eleganckiej dzielnicy.

Może nawet szanowałyby go bardziej, gdyby widziały, na jego przykładzie, co można osiągnąć ciężką pracą.

Czy powinna powiedzieć Joemu, czego dowiedziała się, siedząc na tych trybunach? A może raczej nie? Skoro nie jest jego kobietą, nie powinna wtrącać się w jego sprawy. Musi to przemyśleć, rozpatrzyć wszystkie za i przeciw.

Głośny gong przerwał jej rozmyślenia.

- Przerwa - oznajmił Jerome. - Wygrywamy czterema punktami. To jeszcze za mało.

- Ale lepiej, że wygrywamy zamiast przegrywać czterema punktami - pocieszała go Polly.

Widziała, jak Joe wstaje i idzie za swoją drużyną do szatni. W połowie drogi odwrócił się w jej stronę i obdarzył ją szerokim uśmiechem.

- No, no! - skomentowała to głośnym parsknięciem Debbie. - Wdziałeś, Jerome? Kurczę blade. Nasz trener wpadł po uszy. A pani

nam mówi, że nie jest jego kobietą. Dobrze sobie! W poniedziałek rano cały Lincoln będzie już o tym wiedział.

- Pewnie! - zgodził się z nią Jerome. - Idę się przewietrzyć.

- Tylko nie wdaj się w jakieś burdy z tamtymi, Jerome - ostrzegła go Debbie. - Trzymaj gębę na kłódkę, rozumiesz?

- Jasne, jasne - mruknął Jerome i zniknął.

- Ten facet doprowadza mnie do szału - westchnęła Debbie.

- Naprawdę macie zamiar się pobrać? - spytała Polly.

- O, tak. W czerwcu kończymy szkołę i bierzemy ślub.

- Co chcecie robić? Myśleliście na przykład o college'u?

- Nie, nie mamy forsy na naukę. Jerome umie naprawić wszystko, co jeździ, więc chyba znajdzie robotę w jakimś warsztacie. Ja chciałam być kelnerką czy barmanką. W każdym razie do urodzenia dziecka. Ale teraz... po tym spotkaniu, kiedy mówiła nam pani o swojej pracy... już sama nie wiem... Eee, nieważne!

- Nie, nie, mów dalej. Myślałam, że się trochę polubiłyśmy, Debbie. Nazywaj mnie Polly, tak będzie prościej. Więc co chciałaś mi powiedzieć?

- Chodzi mi o to, że zrozumiałam, że ty jakoś zdobyłaś zawód, mimo że na początku też nie miałaś pieniędzy. Niańczenie jakichś głupich ptaków jest na pewno lepsze niż obsługa pijanych kretynów.

Polly zmarszczyła brwi.

- Naprawdę uważasz, że zajmuję się wyłącznie takimi ptakami?

Debbie wzruszyła ramionami.

- No, może jeszcze sprzątnięciem po psach i kotach. Ale jak się nie ma forsy, nie można być wybrednym. Nie, chyba jednak zostanę kelnerką. Nie zniosłabym tylko usługiwania jakimś napuszczonym bogaczom. Poszukam takiej knajpy, gdzie bywają zwykli, porządni ludzie.

- To znaczy, że... że uważasz, że się sprzedałam, tak? - powiedziała cicho Polly. - Joe... trener Dillon... mówił, że tak będzie.

- Nie wtrącam się w twoje sprawy, Polly. Robisz, co musisz robić. A ja i Jerome? On zostanie super mechanikiem, a ja kelnerką. I będziemy mieli najwspanialsze dziecko na świecie. Na pewno nie zechcemy go wychowywać w tym getcie. Jakoś sobie ułożymy życie, jestem tego pewna. Kiedyś będziemy nawet mieli swoje własne meble. Coś naprawdę eleganckiego.

- Jestem o tym przekonana. Muszę ci jeszcze coś wyjaśnić. Podjęłam pracę w klinice Dogwoodów dlatego, że jest to zajęcie dobrze płatne, a ja mam brata i siostrę, którym muszę opłacać naukę w college'u.

- O, teraz chyba cię rozumiem. Chciałabym tylko wiedzieć, czy kiedy rodzina nie będzie już potrzebowała twojej pomocy, przestaniesz niańczyć te ptaki?

- Ja...

- Wiesz, co ja o tym wszystkim myślę? - powiedziała w zamyśleniu Debbie. - Pan Dillon mieszka skromnie w naszym getcie, choć wcale nie musi. Ty chcesz żyć wśród ludzi bogatych, dla których zawsze będziesz przybłądą. I ty, i on tkwicie nie na swoim miejscu. Trudno wam będzie się do siebie dopasować. Szkoda. Ale tak to właśnie widzę.

- Ale...

Znów rozległ się gong i obie drużyny wróciły na boisko.

Wielkie nieba! przeraziła się Polly. Czy ta dziewczyna może mieć rację?

Czy taka właśnie przyszłość ją czeka? Czy nigdy już nie opuści świata, do którego przecież nie należy?

Czy tak samo jak Joe Dillon dokonała złego wyboru?

Tyle pytań kłębiło jej się w głowie i na żadne nie umiała znaleźć odpowiedzi.

Kiedy na salę wrócił Joe i znów się do niej uśmiechnął, zrozumiała, że musi rozwiązać jeszcze jeden poważny problem.\

Co zrobić z urokiem, jaki rzucił na nią ten mężczyzna?

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Wznowiono mecz i entuzjazm kibiców obu drużyn sięgnął zenitu. Nikt nie żałował gardła. Sala drżała od okrzyków i miarowego tupania.

A Polly znakomicie się tym wszystkim bawiła.

Wtórowała okrzykom, które znała z dzieciństwa, przy nowych, nie znanych jej, biła brawo. Krzyczała z oburzeniem, kiedy sędzia dyktował rzut przeciw chłopcom z Lincolna. Właściwie przez cały czas stała i machała rękami.

Szala zwycięstwa przechylała się to na jedną, to na drugą stronę. Sześciopunktowa przewaga Lincolna. Cztery punkty na korzyść przeciwnika. Lincoln znów prowadzi dwoma punktami, potem je traci. I tak dalej, i tak dalej.

Kiedy gong obwieścił koniec trzeciej części meczu, Polly opadła na ławkę i otarła pot z czoła.

- Polly.

- Koszykówka to bardzo wyczerpująca gra - westchnęła Polly. - Już nie pamiętam, kiedy tak dobrze się bawiłam. Joe jest wspaniałym tre-

nerem. Zawsze ustawia odpowiedniego gracza na zagrożonej pozycji i dzięki temu...

- Polly - powtórzyła Debbie, szarpiąc ją za rękaw.

- Tak? - Polly wreszcie trochę oprzytomniała. - A ty też dobrze się bawisz?

- Nie. Jerome wyszedł w połowie meczu i do tej pory nie wrócił.

Polly spojrzała na puste miejsce obok siebie, a potem na Debbie.

- Nawet tego nie zauważyłam. Byłam tak pochłonięta meczem, że...

Niepokoisz się. Widzę to po twojej minie.

- Pewnie, że się niepokoję. - Debbie z trudem powstrzymywała łzy.

- Chłopaki z Lincolna i tamci zawsze byli wrogami. My nie lubimy ich, oni nie lubią nas. Muszę wyjść i poszukać Jerome'a. Muszę sprawdzić, czy nic mu się nie stało.

Gong oznajmił wznowienie gry.

- Nie możesz iść sama - oznajmiła, wstając, Polly. - Idę Z tobą.

Przeciskając się między rzędami, mrużąc cicho słowo: przepraszam, wydostały się jakoś spośród tłumu kibiców. Szybko pobiegły ku drzwiom.

Joe wstał i dał znak swym zawodnikom, by poprosili o czas. Czeka-  
jąc na gwizdek sędziego, pozwolił sobie na szybkie spojrzenie w kie-  
runku Polly. Widok jej rozentuzjasmowanej twarzy sprawiał mu  
ogromną przyjemność.

Miejsce Polly było jednak puste.

Zniknął też Jerome i Debbie.

Co się stało? zaniepokoił się i rozejrzał po całej sali. Gdzie oni są?  
Co się dzieje? Gdzie jest Polly?

- Hej, trenerze?

Cała drużyna stała obok niego.

- Co? A, tak. Dobra, słuchajcie. Myślałem, że ten gruby już nie wróci na boisko, ale chyba będzie inaczej. Jak go tylko wystawią, uważajcie.

- Jasne - powiedzieli chórem chłopcy.

- Ruszajcie. - Joe poklepał po ramieniu najbliższego z nich. - Możemy wygrać ten mecz. Grajcie twardo, ale nie faulujcie.

- Tak jest.

Grę wznowiono i Joe, zanim usiadł, jeszcze raz rozejrzał się po sali.

Gdzie, do jasnej cholery, jest Polly?

Kiedy tylko Polly i Debbie wyszły przed salę, Debbie chwyciła swoją towarzyszkę za rękę, a serce Polly ze strachu zaczęło szybciej bić.

Przy krawężniku stały dwa radiowozy z migającymi światłami. Trzej policjanci rozmawiali z jakimiś dwoma chłopakami, czwarty odgradzał ich od pozostałych.

Polly i Debbie ostrożnie podeszły w ich stronę. Kiedy były już blisko, Debbie mocno ścisnęła rękę Polly.

- O Boże, patrz... - szepnęła drżącym głosem. -Gliniarze zatrzymali Jerome'a. Ma zakrwawioną koszulę i... twarz. Jezu, jest cały podrapany. Musiał się z kimś bić. Zabiorą go do więzienia i nigdy nie wy-



puszczą. -Debbie zalała się łzami. - Biedny Jerome! Musimy coś zrobić.

- Uspokój się - powiedziała Polly, świadoma, że jej głos też drży. - Zostań tutaj i milcz. Rozumiesz?

Polly puściła rękę Debbie, poprawiła na ramieniu torbę i zdecydowanym krokiem ruszyła w stronę policjantów.

- Dobry wieczór - powiedziała i nawet zdobyła się na uśmiech. - Czyżby wyniknął jakiś problem? - spytała, spoglądając najpierw na Jerome'a, potem na drugiego chłopaka, ocierającego chusteczką krew z twarzy.

- Złapaliśmy tych dwóch rozrabiaków - wyjaśnił jeden z policjantów. - Zabieramy ich ze sobą. A pani kim jest?

- Nazywam się Polly Chapman. A ci dwaj chłopcy są nieletni, muszą więc panowie oddać ich osobie, która jest za nich odpowiedzialna. Zgadza się? Zresztą po co ja pytam! Oczywiście, że się zgadza. Wobec tego oszczędzę panom kłopotów i zbędnej pisaniny i od razu zabiorę Jerome'a ze sobą. - Polly zaczerpnęła tylko tchu i nie dała nikomu dojść do słowa. - Chodź, Jerome, ty chuliganie. Już ja ci w domu покаżę! Wstydz się!

- Chwileczkę, chwileczkę. - Jednemu z policjantów w końcu udało się przerwać monolog Polly. - Jakoś trudno mi uwierzyć, że jest pani matką Jerome'a.

- Tak? Wcale się panu nie dziwię - powiedziała nie zrażona uwagą policjanta Polly. - Nie jestem jego matką. Jestem jego... jego kuratorką. Tak! Właśnie. Jestem kuratorką tego dzieciaka.

Nagle tuż obok radiowozów z piskiem opon zatrzymał się jakiś samochód i wyskoczył z niego potężny mężczyzna.

- O kurczę! - mruknął ocierający krew przeciwnik Jerome'a. - Już po mnie! To mój ojciec.

- Jeden z twoich kolegów zadzwonił do mnie i poinformował, że wdałeś się w bójkę z chłopakiem z Lincoln, Charles - bez zbędnych wstępów zwrócił się do niego ojciec. - Ty idioto! Noc w areszcie dobrze by ci zrobiła.

- Przepraszam, tato - wyjąkał przez łzy Charles. - Nie chcę iść do więzienia, tato. Proszę! Nie mogę po prostu wrócić z tobą do domu? Przepraszam. Naprawdę przepraszam.

- Panowie? - Ojciec Charlesa zwrócił się do policjantów.

- Mieliśmy zamiar wziąć ich ze sobą - odparł jeden z funkcjonariuszy - ale dobrze... niech pan bierze syna do domu. A pani - policjant spojrzał następnie na Polly - niech zabierze swego podopiecznego.

- Oczywiście, oczywiście - odparła z uśmiechem Polly. - Bardzo panom dziękuję.

- A wy uważajcie - policjant zwrócił się do Charlesa i Jerome'a. - Jeśli któryś z was znów będzie rozrabiał, znajdzie się przed sądem. Rozumiecie?

Charles i Jerome zgodnie kiwnęli głowami. Ojciec Charlesa chwycił syna za kark i prawie wrzucił do auta.

- Chodź, Jerome - powiedziała Polly. - Idziemy do domu. I to natychmiast.

- Proszę pani? - powstrzymał ją jeden z policjantów.

- Słucham?

- Nie umie pani kłamać. Następnym razem może się pani nie udać.

- Tak pan sądzi? - Polly uśmiechnęła się z zakłopotaniem. - Rozumiem. Ale czasem po prostu trzeba działać szybko.

- Racja - zaśmiał się policjant. - Niech pani go zabiera.

- Już nas nie ma.

Polly ujęła Jerome'a za ramię i podprowadziła ku Debbie, która najpierw rzuciła mu się w ramiona, a potem wymierzyła mocny cios w bok.

- Przestańcie - szepnęła Polly - bo wszyscy wylądujemy w kiciu. Później sobie porozmawiacie, Debbie. Jak tu przyjechaliście?

- Autokarem z resztą kibiców - odparła Debbie.

- Rozumiem. Wracacie ze mną. - Polly wyjęła z torebki długopis i notatnik. Wyrwała z niego kartkę, coś na niej napisała i złożyła na pół.

- Jest tu ktoś z Lincolna?

- Co najmniej połowa kibiców jest z Lincolna.

- To daj tę kartkę komuś przytomnemu. Niech odda ją trenerowi, ale raczej dyskretnie.

Debbie skinęła głową, wzięła od niej kartkę, podbiegła do grupy młodzieży i zaraz wróciła do Polly i Jerome'a.

- Szybko, zwijamy się, zanim panowie z policji zmienią zdanie - rzuciła Polly.

Kiedy prowadziła ich w stronę parkingu, miała wrażenie, że słyszy za sobą śmiech policjantów.

Do końca meczu pozostało jeszcze piętnaście sekund. Kibice tak wrzeszczeli, że Joe musiał zwinąć rękę w tubę, by przekazać swoim zawodnikom ostatnie instrukcje.

Nagle przed jego nosem pojawiła się drobna, dziewczęca ręka i machnęła złożoną na pół kartką. Joe chwycił ją bezwiednie, uśmiechnął się do dziewczyny i znów skupił całą swą uwagę na toczącym się meczu.

- Dawaj, dawaj! - krzyknął. - Żadnych fauli. Jeszcze jeden!

Do końca meczu zostało jeszcze pięć sekund.

Cztery...

Trzy...

- No, Luis! - krzyknął Joe. - Strzelaj! Już!

Wybita w powietrze piłka na ułamek sekundy zawisła w powietrzu, potem opadła w dół i przeleciała przez kosz, nawet nie tykając obręczy.

Zabrzmiał końcowy gong.

Chłopaki z Lincolna wygrali mecz.

- Brawo! - krzyknął Joe.

Dopiero teraz mógł spojrzeć na tajemniczą kartkę. „Joe - przeczytał - Jerome ma kłopoty z policją. Zabieram jego i Debbie do siebie. Polly”.

Przez całą drogę do domu Polly uśmiechała się w milczeniu. Była świadkiem awantury, którą nareszcie mogła zrobić Jerome'owi Debbie. Chłopak był na tyle rozsądny, że nie odzywał się ani słowem.

W salonie Polly Debbie stanęła jak wryta i rozejrzała się dokoła.

- Jezus, Polly - jęknęła z zachwytem. - To niesamowite. Te meble są twoje? To całe mieszkanie? Mieszkasz tu tylko ty sama?

- Tak - odparła Polly. - Meble nie są w najlepszym stanie, pokoje niewielkie, ale mnie to wystarcza.

- Niesamowite! - powtórzyła Debbie. - Nie uważasz, Jerome? Może i my będziemy kiedyś mieli taki dom.

- Nieźle mieszkanie - przyznał Jerome. - Łeb mi pęka, na oko prawie nie widzę, ale tamten palant czuje się na pewno gorzej. Nieźle mu przyłożyłem.

- Zamknij się - przerwała mu Debbie. - Ani słowa więcej.

- To przecież tobie przez całą drogę gęba się nie zamykała. Ja grzecznie milczałem.

- No, dość już tego. - Polly uznała, że najwyższy czas się wtrącić. - Chodź do kuchni, Jerome. Trzeba coś zrobić z twoją twarzą.

- Szkoda, że nie ma tu tego twojego ptaszyska, Polly - mruknęła Debbie. - Mógłby go za karę dziobnąć w tyłek.

Śmiejąc się wesoło, cała trójka powędrowała do kuchni.

Pół godziny później twarz Jerome'a była już obmyta, rozcięcie nad okiem obandażowane. Polly, Debbie i Jerome siedzieli przy kuchennym stole, jedli kanapki z serem i szynką i popijali je mlekiem.

Tę idyllę przerwało głośnie stukanie do drzwi i zanim Polly zdążyła je otworzyć, do środka wpadł Joe Dillon.

- Cześć - przywitała go Polly.

- Cześć - mruknął pod nosem Joe i od razu zwrócił się do Jerome'a. - Stary, masz u mnie przechlapane.

- No, no - prychnęła Debbie.

- Przepraszam, panie trenerze - wyjąkał Jerome. - Naprawdę. To tamten kretyn zaczął. Przysięgam. Zaczepiał mnie, a ja długo udawałem, że nie słyszę. Ale jak zaczął mówić o panu, nie wytrzymałem.

- O mnie? - Joe był szczerze zdziwiony.

- No, tak... Powiedział, że dlatego trzyma pan cały czas w ręku ten niebieski ręcznik, żeby z nerwów nie ssać palca. Kiedy to usłyszałem, nie mogłem nie dać mu w nos.

- Rany boskie! - parsknęła śmiechem Polly. - O, przepraszam - dodała, widząc ponurą minę Joego.

- Dobra - westchnął z rezygnacją Joe. - Co się stało, to się nie odstanie. Wyobraźcie sobie, że cały autokar kibiców przyjechał tu za mną. Zbierajcie się stąd natychmiast. Nie będą na was czekać w nieskończoność. Ale najpierw, Jerome, podziękuj pannie Chapman, że ocaliła twój tyłek.

- Dzięki, Polly - powiedziała Debbie, obejmując Polly. - Jesteś cudowna. Cieszę się, że zostałyśmy przyjaciółkami.

- Dziękuję, Polly - rzekł Jerome. - Naprawdę nie miałem ochoty zwiedzać więzienia. Wybrał pan sobie super kobietę, trenerze. Jest naprawdę wyjątkowa. Po prostu super.

- Spadaj! - Joe wskazał mu drzwi.

- Czy autokar z drużyną też tu jest? - spytała Debbie.

- Nie - odparł Joe. - I tak będę się musiał tłumaczyć, że zmieniłem trasę tego z kibicami. Nie wiedziałem, co tutaj zastanę, więc... Pan Franklin i jego żona też byli na meczu. Pani Franklin wróciła więc ich autem, a jej mąż pojechał z drużyną. Widzisz sam, ile narobiłeś zamieszania.

- Bronilem pańskiego honoru, panie trenerze! Joe nie mógł powstrzymać się od uśmiechu.

- Mówił, że chciałbym ssać palec, co? Skąd mu to wpadło do głowy?

- Teraz ma za to śliwę pod okiem i nos jak bania - pochwalił się Jerome.

- Dobra, dobra, ruszaj do autokaru.

Mrucząc wciąż słowa podziękowania i pożegnania, Jerome i Debbie wyszli z mieszkania Polly. W kuchni zapadła nagła, niezręczna cisza.

- No i jak? - spytała szybko Polly. - Wygraliśmy?

- Tak. Wygraliśmy.

- To kapitalnie. Super! Masz ochotę na kanapkę z szynką i serem?

- Chętnie. Dzięki.

- To siadaj.

Joe usiadł na krześle i przyglądał się, jak Polly przygotowuje mu jedzenie.

Wygraliśmy? powtórzył w myślach. Kiedy Polly chwilę przedtem zadała mu to pytanie, gdy powiedziała „wygraliśmy”, jego serce na ułamek sekundy zgubiło rytm.

A równocześnie zrobiło mu się jakoś tak ciepło i dobrze.

No, dość tego, Dillon, nie wygłupiaj się. To ze zmęczenia i napięcia. Zawsze tak dziwnie czujesz się po meczu. Marzysz tylko, by wrócić do domu i w ciszy wszystko odreagować. A dzisiaj?

Dzisiaj nie jesteś sam. Zrządzeniem losu znalazłeś się w kuchni Polly Chapman i za chwilę będziesz jadł kanapkę z szynką i serem.

I jest ci bardzo, bardzo miło i przyjemnie.

Dość tego, Dillon, znów skarcił go ten dobrze już mu znany wewnętrzny głos. Przestań rozmyślać. Zjadaj kanapkę i wracaj do domu, gdzie twoje miejsce.

Do domu? Do tej ponurej chatki?

Zadbał o nią, jak mógł, ale była w takim stanie, że w gruncie niewiele mógł zrobić. Rury były przerdzewiałe, instalacja elektryczna miała chyba ze sto lat, a na kuchennym suficie pojawiły się właśnie kolejne pęknięcia.

I to ma być dom?

Joe rozejrzył się po mieszkaniu Polly.

Mimo niewielkiego rozmiaru i zniszczonych mebli, było w nim jakieś domowe ciepło.

O jego domu nie dałoby się tego niestety powiedzieć. Nie był to nawet dom, lecz po prostu pomieszczenie.

Dillon, co się z tobą dzieje? Dlaczego nagle, po tylu latach, zacząłeś zastanawiać się nad miejscem, w którym mieszkasz?

Czy ma to coś wspólnego z pojawieniem się w twoim życiu Polly Chapman?

Joe nie umiał na to pytanie odpowiedzieć.



Wiedział tylko, że ta kobieta zawróciła mu w głowie.

- Proszę bardzo. - Głos Polly wyrwał go z tych kłopotliwych rozmyślań.

Postawiła przed nim talerz i puszkę z jakimś napojem i usiadła naprzeciwko.

- Mam nadzieję, że nie będziesz się drugo złościł na Jerome'a - powiedziała. - Zawsze zresztą możesz się pocieszyć tym, że nie musiałeś wyciągać go z więzienia.

- Dzięki tobie - zauważył Joe i ugryzł kanapkę. Przez chwilę żuł kęs chleba w milczeniu. - Jestem ci bardzo wdzięczny, że interweniowałaś. Jeden z uczniów mówił mi, że słyszał, jak mówiłaś policjantom, że jesteś kuratorką Jerome'a.

Polly roześmiała się.

- Nie chcieli uwierzyć, że jestem jego matką. Zresztą w to, że jestem jego kuratorką, też nie uwierzyli, ale pozwolili mi go „sobie zabrać”, jak się wyrazili.

- Dlaczego to zrobiłaś? Przecież nawet ich nie znasz. Mówię oczywiście o Debbie i Jeromie.

- Ależ znam! Kiedy weszłam na salę, wstali, pomachali do mnie i wskazali mi miejsce obok siebie. Bardzo mnie to wzruszyło.

Joe skinął głową i zajął się jedzeniem.

- Całymi dniami opiekuję się zwierzętami, które należą do innych ludzi — mówiła dalej Polly. - Czasem jakiś pies polize moją rękę, kot się o mnie otrze, ale Debbie i Jerome to ludzie, prawdziwi ludzie. Bez żadnych zastrzeżeń ofiarowali mi swoją przyjaźń. Kiedy Jerome zna-

lazł się w tarapatach, pomoc temu chłopcu uznałam za naj naturalniejszą rzecz na świecie.

Joe opróżnił puszkę, potem odstawił ją na stół i przez dłuższą chwilę przyglądał się Polly w zamyśleniu.

- Mam wrażenie - odezwał się w końcu - że zaczynasz rozumieć, dlaczego te dzieciaki tyle dla mnie znaczą, czemu są takie ważne.

- Tak. Chyba rzeczywiście to rozumiem.

Joe wstał od stołu, podszedł do Polly i wziął ją w ramiona. Nie protestowała. Wtuliła się w niego z ufnością, a kiedy jego usta dotknęły jej warg, z radością odwzajemniła pocałunek.

Tęskniłam za tobą, Joe, pomyślała.

- Jesteś jak koliberek - rzekł. - Taka delikatna, krucha, a równocześnie silna i zdecydowana.

Koliberek? Niech będzie. Dla niego może być wszystkim.

A potem już nie była w stanie myśleć.

- Pragnę cię, Polly - szepnął Joe prosto do jej ucha. - Chcę się z tobą kochać.

- Tak. Tak. Ja też cię pragnę...

- Jesteś pewna, że...

- Nic nie mów...

Wziął ją na ręce tak swobodnie, jakby rzeczywiście była tym koliberkim, o którym mówił. Zaniósł ją do sypialni, oświetlonej tylko światłem padającym z salonu.

Po chwili oboje byli już rozebrani. Przez moment stali tuż obok siebie i po prostu na siebie patrzyli.

- Och, Polly - szepnął w końcu Joe i wyciągnął do niej rękę.

Podąła mu swoją dłoń z ufnością i nadzieją. A później dała mu całą siebie. Z pasją i żarliwością.

Joe ułożył głowę Polly w zagłębieniu swego ramienia i mocno przytulił do siebie drzemiącą dziewczynę.

- O, Joe! - westchnęła z rozmarzeniem.

- Wiem - szepnął, przeczesując palcami jej włosy.

- Jestem śpiąca - mruknęła.

- To śpij, koliberku.

Po chwili jej równy oddech powiedział mu, że rzeczywiście zasnęła.

Joemu kłębiące się w głowie myśli zasnąć nie pozwoliły.

Nagle zaczął zastanawiać się na sensem swego życia. Czy fałd, że we własnej wannie nie jest w stanie się nawet wyciągnąć, czyni z niego lepszego nauczyciela?

Ale dlaczego te myśli przyszły mu do głowy akurat teraz?

Dlaczego?

A te uczucia? Nowe, niezwykle...

Nie, musi stąd uciekać... Zastanowić się nad tym wszystkim w samotności. I to szybko... dopóki jeszcze w ogóle jest w stanie myśleć racjonalnie...

Ostrożnie, by nie obudzić Polly, wstał z łóżka. **Przez** chwilę w zadumie patrzył na tę cudowną kobietę, która oddała mu się z taką ufnością.

Potem błyskawicznie ubrał się i szybko wyszedł z jej mieszkania.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Polly poruszyła się, zamrugła kilka razy powiekami, wreszcie otworzyła szeroko oczy. Gdzie jest Joe?

Obróciła głowę i spojrzała tam, gdzie spodziewała się go zastać. Miejsce obok niej było puste.

Może miał coś pilnego rano do załatwienia, pomyślała z uśmiechem. Na pewno zostawił gdzieś kartkę z wyjaśnieniem swojego zniknięcia.

Polly przeciągnęła się jak kotka. Wspominała minioną noc...

- No, no - mruknęła, zadowolona. Wciąż uśmiechnięta wstała z łóżka i poszła do łazienki. Wzięła prysznic, włożyła dzinsy i blad różowy sweter i udała się na poszukiwania kartki od Joego i... filiżanki gorącej kawy.

Piętnaście minut później siedziała przy kuchennym stole nad stygnącą kawą. Na jej twarzy już nie było uśmiechu.

W poszukiwaniu wiadomości od Joego przeszukała całe mieszkanie i to dwukrotnie. Nie znalazła żadnej kartki, bo Joe po prostu niczego nie napisał. Zostawił Polly, jej łóżko i dom i zniknął w ciemnościach nocy.

Nie, to przecież niemożliwe. Tak, możliwe i oczywiste, bo są na to niezbite dowody. Dla Joego Dillona Polly Chapman była tylko łatwą zdobyczą na jedną noc.

Serce miała ściśnięte, do oczu cisnęły się łzy, ale Polly postanowiła się nie poddawać.

Jak zwykle próbowała się jakoś pocieszyć, znaleźć w całej tej sytuacji drugą, lepszą stronę medalu.

Nic jednak nie przychodziło jej do głowy.

Cholera, cholera, cholera! Za to, co się stało, może niestety winić tylko samą siebie. Od początku wiedziała, że Joe nie jest z jej sfery. Przywykł do kobiet w typie Celinę, które nazywają go kochaniem i paplają o narciarskich wyprawach do Aspen.

Kochanie się z kimś, a dokładniej - uprawianie seksu, to dla niego pewnie nic wielkiego. Ma do czynienia z kobietami, które się przed nim płaszczą i z entuzjazmem idą z nim do łóżka - bez żadnych zobowiązań.

Polly pociągnęła nosem.

Wcale nie chciała Joego do siebie przywiązywać. Ani trochę. Nawet jej to do głowy nie przyszło. W głębi duszy wiedziała, że ich ewentualna wspólna przyszłość jest absolutnie wykluczona. Między nimi nie może być niczego trwałego.

Ale dlaczego Joe opuścił ją bez słowa? Czowała się taka poniżona, taka zakłopotana... i wściekła.

- Świnia - mruknęła i mocno walnęła pięścią w stół. Choć kubek wcale nie był pełny, odrobina kawy wylała się na blat.

Polly oderwała kawałek papierowego ręcznika i ze złością ścierała plamę.

- Owszem, jestem zła, ale nie smutna - mówiła do siebie. - I nie będę płakała, bo łzy oznaczają smutek, a nie złość. Ale i smutek też czuję... i to tak ogromny.

Nagle ktoś mocno zastukał do drzwi i Polly spojrzała w tamtą stronę.

Ktokolwiek to jest, nie mam ochoty na pogaduszki, pomyślała. Będę udawać, że nie ma mnie w domu.

Pukający nie dał się nabrać. Zastukał jeszcze raz. Chyba nawet mocniej.

Polly westchnęła z rezygnacją. To pewnie siostra lub brat lub ktoś z przyjaciół zaniepokojony jej nieobecnością w niedzielny poranek.

Trzeba mu otworzyć.

Joe, trochę już zniecierpliwiony, poprawił trzymaną w objęciach ogromną torbę.

Miał nadzieję, że jego mocne stukanie obudzi pograżoną w głębokim śnie Polly. Pewnie jeszcze nawet nie wie, że nie ma go obok niej.

Kiedy opuścił w nocy jej mieszkanie, pojechał do siebie, wziął prysznic i położył się do łóżka. Miał nadzieję, że zaśnie natychmiast. Zamiast tego przez całą noc nie zmrużył oka, wściekły na siebie, na swoje zachowanie, na swoje niezrozumiałe uczucia, na cały świat...

Najwcześniej jak to było możliwe poszedł do sklepu, a potem, nie zwlekając, pojechał do Polly.

Uważał się za straszego drania. W ciągu tej bezsennej nocy doszedł do wniosku, że nie powinien się z nią widywać.

Polly zasługuje na dom i dzieci, a on nie mógłby jej tego dać. Czyżby?

Tak, właśnie że tak.

Nie ma nic do zaoferowania Polly Chapman.

Chwilę później, wpatrując się w ciemność, uświadomił sobie, że to jego potajemne wyjście, bez pożegnania czy choćby pozostawionej wiadomości, oznaczać może, że to, co wydarzyło się między nimi, on uważa za nic nie znaczącą przygodę.

Polly nie zasługuje na takie traktowanie. Musi jej wytłumaczyć, dlaczego nie powinni się spotykać. A ta rozmowa będzie dużo łatwiejsza, jeśli Polly obudzi dopiero jego pukanie.

Niestety, kiedy drzwi się w końcu otworzyły, ujrzał w nich ubraną i rozbudzoną Polly.

- Cześć - rzekł i nawet zdobył się na lekki uśmiech. - Masz ochotę na śniadanie?

Polly otworzyła usta, potem szybko je zamknęła i za chwilę znów otworzyła.

- Słucham?

Joe wszedł do środka i od razu ruszył do kuchni. Polly powędrowała za nim.

- Joe, co...?

- Poszedłem do domu, wziąłem prysznic i włożyłem czyste ubranie - rzekł, stawiając torbę na stole. To była prawda. Nie powiedział tylko, o

której godzinie opuścił jej mieszkanie. - Popatrz, moja słodka, jakie pyszności przyniosłem. Truskawki, bagietki i twarożek. Co ty na to?

Kiedy odwrócił się w jej stronę, zobaczył, że Polly stoi obok stołu, sztywna jakby kij połknęła, z rękami splecionymi na piersi w obronnym geście.

Boże święty, to przecież mój maleńki koliberek, pomyślał. Chciał podejść do niej, wziąć ją w ramiona i całować do utraty tchu.

Powiedziałby jej, jak cudowna była ta wspólnie spędzona noc, i każde jego słowo byłoby szczere. Scałowałby smutek i niepewność z jej twarzy i patrzył, jak Polly się uśmiecha.

Ej, Dillon, uważaj. Ta kobieta chyba cię zaczarowała. Uważaj!

Wiesz, że niczego nie możesz jej dać. W każdym razie nie ofiarujesz jej tego, na co zasługuje.

Tak, tylko dlaczego to takie trudne? Dlaczego przeraża go myśl, że miałby jej już nigdy nie zobaczyć?

Nigdy się z nią nie kochać? Nigdy nie słyszeć jej śmiechu? Nie patrzeć w te błękitne oczy, zamglone pożądaniem?

Nie, nie może być taki samolubny! Musi myśleć przede wszystkim o Polly. Tylko o niej.

Musi skończyć tę znajomość. I to natychmiast. Jeszcze tego ranka.

Owszem, ale nie ma powodu marnować tego wspaniałego jedzenia. Takie rozmowy zawsze łatwiej prowadzić po śniadaniu. Najpierw więc zjedzą, a potem porozmawiają.

- Polly? Lubisz truskawki? A bagietki?

- Co? A, tak, tak. Lubię.



Joe podszedł do niej i położył ręce na jej ramionach.

- Jesteś smutna, prawda? - rzekł ostrożnie. - Żałujesz, że się kochaliśmy? Powiedz mi, o czym myślisz, co cię niepokoi.

- Nie żałuję, że się kochaliśmy - odparła Polly, patrząc mu prosto w oczy. - Było cudownie, wyjątkowo. Chodzi o to, że kiedy rano się obudziłam i nie było cię przy mnie, i nie było nawet żadnej kartki, poczułam... zrozumiałam, że dla ciebie była to tylko jednorazowa przygoda.

- Polly, moja słodka! - Joe objął ją mocno i przyciągnął do siebie. Polly objęła go w pasie i wsparła głowę na jego ramieniu. - Wierz mi, że dla mnie też było to coś wyjątkowego i pięknego.

Polly uniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

- Naprawdę?

- Naprawdę - zapewnił ją Joe i przypieczętował swoje słowa pocałunkiem. Takim samym jak wszystkie poprzednie - długim, gorącym, pełnym pożądania. Później jednak niechętnie odsunął Polly od siebie. Rozum zwyciężył nad ciałem. - Musimy porozmawiać - rzekł. - Usiądź przy stole, a ja przygotuję śniadanie.

Polly posłusznie spełniła jego rozkaz. Joe szybko znalazł miseczki, sztućce i talerze, błyskawicznie nalał do kubków kawę.

- Jedz - rzekł.

- O czym musimy porozmawiać? - spytała Polly.

- Najpierw zjedzmy.

- Dlaczego?

- Nie ułatwiasz mi sprawy, Polly. - Joe zmarszczył brwi. - Weź truskawkę.

- Jak mogę jeść, skoro powiedziałaś takim złowieszczym tonem, że musimy porozmawiać?

- Wcale nie złowieszczym. Poważnym, odpowiednim do sytuacji.

- To znaczy...?

- Nie możemy się dłużej spotykać - wyrzucił z siebie Joe.

No, brawo, Dillon, możesz być z siebie dumny.

- Przychodzisz tutaj z pysznym śniadaniem, z truskawkami i gorącymi bagietkami, mówisz, że nasza wspólna noc była cudowna i wyjątkowa, a potem oznajmiasz, że nie możemy się dłużej spotykać. Czy to ma jakiś sens? Nie, moim zdaniem, nie.

Joe pełnym rozpaczy gestem chwycił ją za rękę.

- Ma to sens, Polly, ma. Wysłuchaj mnie, dobrze? Bardzo szybko stałaś się dla mnie ważna, a to nic dobrego. Wprost przeciwnie. To bardzo, bardzo źle. Co by było, gdybyśmy się w sobie zakochali? Czy rozumiesz, jakie by to było dla nas nieszczęście?

- Tak? Dlaczego?

- Polly, nie żartuj. Widziałaś, gdzie mieszkam. Wiesz, jaki cel mi przyświeca, co chcę osiągnąć. W moim życiu nie ma miejsca na miłość... na zakochanie się, na małżeństwo, na żonę i rodzinę. Ty zasługujesz na męża, dom, dzieci. Ja żadnej z tych rzeczy dać ci nie mogę.

- Ale...

- Nasza znajomość jest niebezpieczna, nie rozumiesz tego? Co będzie, jeśli uczucia wezmą w nas górę nad rozumem? To będzie coś strasznego.

Polly ciężko westchnęła.

- Joe, jest coś, o czym powinieneś wiedzieć.

- Tak?

- Wczoraj na meczu Jerome i Debbie powiedzieli mi, że dzieciaki z Lincolna nie mogą zrozumieć, dlaczego, skoro nie musisz, postanowiłaś mieszkać w getcie. Bardzo cię lubią i szanują, ale po prostu nie mogą pojąć, dlaczego się stamtąd nie wyniesiesz.

- Żartujesz! - wyjąkał Joe. Czuł się jak po potężnym ciosie w żołądek.

- Nie, wcale nie. Przykro mi. Wiem, że uważałaś, iż łatwiej ci będzie się porozumieć z twoimi uczniami, jeśli będziesz tam mieszkał, ale... Przepraszam cię, Joe. To oczywiście nie ma nic wspólnego z nami, ale uznałam, że powinieneś o tym wiedzieć.

Joe wstał od stołu i zaczął przechadzać się po kuchni.

- Nie mogę w to uwierzyć - mruknął, nawet nie przystając. - Dlaczego żadne z nich do mnie z tym nie przyszło? Czemu mi nie powiedzieli?

- Bo nie mają zwyczaju wtrącać się w nie swoje sprawy - odparła Polly, nie spuszczać z niego wzroku. - Tak dokładnie powiedzieli. Uwielbiają cię, Joe. To widać jak na dłoni. Możesz być dumny z tego, że taki masz na nich wpływ i tylu młodych ludzi wykształciłaś przez te lata.

- Przez te lata - powtórzył Joe i aż się skrzywił z niesmakiem. - Tak, przez te lata widziałem tylko to, co widzieć chciałem. Wydawało mi się, że jestem najmądrzejszy. A przecież...

- Joe, przestań. Nie bądź wobec siebie niesprawiedliwy. Twoje serce i rozum były tam, gdzie być powinny. Byłeś po prostu zbyt blisko, by widzieć pewne rzeczy dokładnie i spojrzeć na to wszystko oczami tych dzieciaków. Muszę przyznać, że i ja się zastanawiałam, czemu postanowiłeś mieszkać w tej okropnej dzielnicy. Nieustannie przekonujesz ich, żeby nie porzucali szkoły, żeby ciężko pracowali, bo to da im przepustkę do lepszego świata. Twój uczeń wie, że jako nauczyciel dobrze zarabiasz, i nie dziwi się, iż w głowie im się nie mieści, że mieszkasz w ich getcie z własnego wyboru, ich namawiając, by stamtąd uciekali. Nie przestali cię szanować, ale nie mogą tego wszystkiego zrozumieć.

Joe stanął tuż przed Polly i ujął się pod boki.

- Zdaje się, że krytykując mnie, czujesz wielką satysfakcję - rzekł. - Zarzucałem ci, że się sprzedałaś, bo podjęłaś pracę polegającą na niańczeniu ulubieńców bogaczy. Mówiłem, że nie masz żadnych ambicji. Teraz pewnie, kiedy ty z kolei możesz mi parę rzeczy zarzucić, odczuwasz ogromne zadowolenie.

- Nie, Joe, jest wprost przeciwnie.

- Tak? Twoja mina świadczy o czymś zupełnie innym.

- Wystarczy - przerwała mu Polly i zerwała się na równe nogi. - Zdenerwowałaś się i ze mnie robisz kozła ofiarnego. A jak, twoim

zdaniem, miałam się zachować? Nie powtarzać ci tego, co powiedzieli mi Debbie i Jerome?

- Tak! - odparł, prawie krzyżąc Joe. Szybko się jednak zreflektował. - Nie, oczywiście, że nie. Zresztą sam już nie wiem. Potrzebuję czasu, by to wszystko przemyśleć. Porozmawiamy później.

- Naprawdę? - Polly złożyła ręce na piersi. - To coś nowego. Przecież postanowiłeś, że nie będziemy się już spotykać.

- Polly, jestem tak wytracony z równowagi, że nie potrafię podjąć w tej chwili żadnej racjonalnej decyzji.

Joe szybko podszedł do Polly, wziął ją w ramiona i mocno pocałował.

- Później - mruknął. - Zadzwoń do ciebie.

Kiedy wyszedł, Polly opadła na krzesło.

- O rany - jęknęła.

Odczekała chwilę, aż uspokoi się jej serce, włożyła do ust truskawkę i zapatrzyła się w przestrzeń.

- Jakie to wszystko skomplikowane - powiedziała. Nie tylko Joe potrzebował czasu, by się nad wszystkim

zastanowić. Ona też. Musi postarać się zrozumieć swoje uczucia do niego - bardzo niebezpieczne uczucia. A także to, co poprzedniego dnia zaszło między nią a Debbie i Jerome'em. Była bardzo przejęta, że... że udało jej się pomóc tym młodym ludziom.

Na wspomnienie uścisku, jakim po wszystkim podziękowała jej Debbie, zrobiło jej się ciepło koło serca.

Polly westchnęła i sięgnęła po kolejną truskawkę.

Już od tak dawna żaden człowiek nie wzbudził w niej takich uczuć. Poświęcała się wyłącznie zwierzętom. Przy nich czuła się bezpiecznie. Nic jej z nimi nie łączyło, nie mogły jej zawieść, sprawić przykrości, żądać więcej, niż byłąby im w stanie dać.

Joe zauważył, że we wszystkim stara się dostrzec coś pozytywnego. Nie wiedział jednak, z jakim trudem jej to przychodzi.

Kiedy zbliżały się jej ósme urodziny, wracając ze szkoły, codziennie przystawała przed wystawą, na której stał błyszczący, czerwony rower.

Ależ go pragnęła! Wyobrażała sobie, jak na nim jedzie, jak wiatr rozwiewa jej włosy, jak turkocze spódnica i jak wszyscy z zazdrością na nią patrzą.

Ósme urodziny w końcu nadeszły i rzeczywiście dostała rower. Tyle tylko, że bladozielony i używany.

Z trudem powstrzymując łzy, zdobyła się na uśmiech i serdecznie podziękowała rodzicom. Wiedziała, że bardzo chcieli sprawić jej przyjemność, ale nie mieli pieniędzy na rower nowy, błyszczący i czerwony.

Całymi latami ubierała się do szkoły w rzeczy ze sklepów z używanymi ubraniami. I, siłą rzeczy, zawsze były to stroje niemodne.

Z zazdrością słuchała opowieści kolegów o letnich wakacjach. Dla rodziny Chapmanów jedyną rozrywką było kino dla zmotoryzowanych, gdzie zajadali popcorn, przyrządzony w domu, bo tak było przecież taniej.

Nawet marzenia o zostaniu weterynarzem z powodów finansowych nie udało jej się zrealizować. Szczytem możliwości był dyplom technika weterynarii.

To, oczywiście, była niczyja wina, stwierdziła Polly, przysuwając do siebie talerz z truskawkami. Rodzice starali się, jak mogli.

Z czasem pogodziła się z sytuacją i znajdowała we wszystkim drugą, lepszą stronę. Nauczyła się, jak nie dopuszczać do rozczarowania.

Z tej tarczy obronnej korzystała też w życiu prywatnym. Spotykała się z mężczyznami, którzy nie mogli jej niczego obiecać. Brak obietnic oznaczał brak marzeń.

Wszystkie swoje uczucia, całą swoją miłość przelała na zwierzęta, bo tak było bezpieczniej, bo przy nich nie jej nie groziło.

A teraz? Polly w zamyśleniu zjadła następną truskawkę. Teraz w jej życiu pojawił się Joe. Mogą się razem śmiać, sprzeczać, kochać. Teraz jest Joe.

Samym swoim spojrzeniem sprawia, że cała płonie. Jego pocałunki oszalamiają ją. Pokazał jej swój świat, sprawił, że poczuła się młoda i pełna życia. Dał jej radość z kibicowania dzieciakom z Lincolna. Dał jej przyjaźń Jerome'a i Debbie.

Teraz jest Joe.

Powiedział, że taka dziewczyna jak ona zasługuje na męża, dom i dzieci. Kiedy dotarły do niej te słowa, zatraciła ten tak ważny w jej życiu instynkt obronny. Tak, to prawda - pragnęła mieć rodzinę, chciała być kochana i miłość tę odwzajemniać.

Joe ma rację, przyznała ze smutkiem. Nie powinni się dłużej spotykać, bo przez niego zaczęła marzyć. Wsłuchuje się w swoje serce, ignorując rozum. Wyobraża sobie, że w jej życiu może być dużo, dużo więcej, niż jest teraz.

A jeśli się w sobie zakochamy? pytał Joe. Czy wyobrażasz sobie, jaka by to była katastrofa?

Kiedy te jego słowa odbiły się echem w jej duszy, mocno i zdecydowanie potrząsnęła głową. W jej oczach pojawiły się łzy.

- O, tak - szepnęła. - Teraz rozumiem, jaka by to była katastrofa, Joe. Nie dla mnie błyszczące, czerwone rowery. I nie dla mnie miłość.

Polly pociągnęła nosem i sięgnęła do talerza. Był pusty.

A więc na dodatek zjadła cały kilogram truskawek. Jej żołądek już dawał znać, że i za to będzie musiała zapłacić.



## ROZDZIAŁ ÓSMY

Joe jechał właściwie bez celu, ale nie zdziwił się wcale, kiedy znalazł się u podnóża znajomej góry.

Co roku w listopadzie starał się przyjeżdżać w to miejsce, spacerował wtedy po lasach, zachwycił ich wielo-barwnością, chłonał spokój i majestat przyrody.

Tym razem piękno natury w ogóle nie robiło na nim wrażenia.

Przysiadł na jakimś kamieniu, zapatrzył przed siebie, westchnął ciężko.

Ależ był zmęczony! Nie przespana noc nie była jednak tego jedynym powodem.

Prawdziwą przyczyną jego stanu były dwa dręczące go problemy.

Pierwszym była Polly Chapman.

Wrócił rano do jej domu, by spokojnie wyjaśnić, czemu nie powinni się więcej widywać. I dokładnie to jej powiedział.

A potem? Co zrobił potem? Obiecał, że później do niej zadzwoni. Tak powiedział. I tak miał zamiar zrobić. Po prostu nie był jeszcze gotów, by usunąć ją ze swojego życia.

Dlaczego?

Nie miał zielonego pojęcia.

Może miało, to jakiś związek z drugim dręczącym go problemem. Z faktem, że przez tyle lat mieszkał w tej zapuszczonej ruinie nieopodal liceum imienia Lincolna bez żadnego powodu.

Jego skromny styl życia, dzięki któremu chciał lepiej porozumiewać się ze swymi uczniami, wywołał tylko ich ogromne zdziwienie.

Dzieciaki szanowały go i lubiły, ale uważały za niespełna rozumu, bo wybrał mieszkanie w getcie, choć jego zarobki były tak oczywistą przepustką do tego lepszego świata, o którym im opowiadał.

Joe westchnął i nerwowym gestem przeczesał palcami włosy.

Jakie to dziwne, że zaczął kwestionować sens swego zamieszkiwania w tym obskurnym domu z chwilą, w której dowiedział się, co o jego poświęceniu sądzą uczniowie.

A więc przyszła pora przeprowadzki do jakiegoś miłego domku w lepszej dzielnicy miasta. Dobrze, niech tak będzie!

I tu wrócił do swego problemu numer jeden. Do Polly Chapman.

Całe jego tłumaczenie, że nie powinni kontynuować znajomości, bo cel, jaki sobie w życiu postawił, jest dla niego najważniejszy, wzięło teraz w łeb. Mówił Polly, że zasługuje na męża, dom i dzieci, a tego wszystkiego on jej dać nie może.

A teraz?

Teraz postanowił kupić dom w bezpiecznej, eleganckiej dzielnicy. Przy takim domu na pewno będą drzewa, ogródek, kwiaty. Może nawet sprawi sobie psa.

Z rzeczy, których, jak twierdził, nie może jej dać, pozostawał jeszcze ślub i dzieci.

Czy chciałby być mężem? Ojcem? Czy pragnie, by Polly została jego żoną, towarzyszką na całe życie? A co czuje do niego ona?

Nie miał pojęcia.

Okazało się, że jego decyzja sprzed dziesięciu lat była zupełnie niepotrzebna. Niczego nią nie osiągnął, niczego mu nie ułatwiła. Jego kłótnie z rodzicami też były bez sensu.

Nie, nie zamierzał wracać do towarzystwa Celine, Buffy, Ricky'ego i innych. Nie wróci też na uniwersytet, by zostać adwokatem, tak jak ojciec. Będzie nadal uczył w Lincolnie, bo tu jest jego miejsce.

A poza tym?

Stanie się członkiem klasy średniej, będzie mieszkał w porządnym, mieszczańskim domu, w porządnej dzielnicy, będzie strzygł swój własny trawnik i bawił się ze swoim własnym psem.

Czy w tym scenariuszu jest miejsce dla Polly? Czy chciałaby mieszkać i żyć w takim otoczeniu?

- Pytania, pytania, pytania - rzekł Joe. - Pora pomyśleć o odpowiedziach.

Polly siedziała na kanapie i patrzyła, jak Joe chodzi tam i z powrotem po jej mikroskopijnym salonie.

Czuła się jak na meczu pingpongowym, bo pokój był zbyt mały, by porównać to do meczu tenisowego. Od śledzenia tej wędrówki zakręciło jej się w głowie.

Po uprzednim telefonie Joe przed dwudziestoma minutami zjawił się u niej, rzucił krótkie „cześć”, pocałował ją w policzek i chodzi tak bez słowa od tamtej pory.

- Przepraszam cię bardzo, ale kiedy tak patrzę, jak kręcisz się w kółko po moim i tak wytartym dywanie, czuję się jak na karuzeli. Mógłbyś może usiąść?

- Co? - Joe spojrzał na nią nie widzącym wzrokiem.

- Usiąść? Tu, na krześle? Mógłbyś?

- A, tak. Oczywiście.

Joe opadł na fotel, wsparł łokcie o kolana i pochylił się do przodu.

- Siedzę - rzekł.

- Dziękuję.

- Polly, chcę cię jeszcze raz przeprosić, że tak zniknąłem bez słowa. Świadomość, że sprawiłem ci przykrość, w połączeniu z tym, co mi powiedziałaś, kazała mi poważnie zastanowić się nad moim życiem.

- Wiem - westchnęła Polly. - Mnie też nie było łatwo. To przecież ja przekazałam ci opinię Debbie i Jerome'a. Tak mi przykro, Joe.

- Nie, nie, bardzo dobrze zrobiłaś. Nie mogę wymazać minionych dziesięciu lat, ale przynajmniej dłużej nie będę już popełniał tego samego błędu.

- To bardzo rozsądne podejście - uśmiechnęła się Polly.

- I tu pojawia się kolejny temat. My, nas dwoje. Uśmiech natychmiast zniknął z twarzy Polly.

- Wiem, że mówiłem, iż nie powinniśmy się dłużej widywać - ciągnął Joe - ale to było wtedy, zanim zrozumiałem, że w moim oddaniu

wobec dzieciaków z Lincolną zupełnie niepotrzebnie poszedłem aż tak daleko. To ty otworzyłaś mi oczy.

- Nie, ja tylko przekazałam ci pewne informacje.

- I jestem ci za to szczerze wdzięczny... Polly, moje życie wkrótce ulegnie zasadniczym zmianom. Natychmiast zaczynam rozglądać się za jakimś ładnym domem w dobrej dzielnicy. Zacząłem nawet myśleć o meblach. I będę miał psa - dodał z uśmiechem.

- Naprawdę? - ucieszyła się Polly. - Szczeniaka? To cudownie. Jakiej rasy? Myślałeś już może o imieniu?

- Nie. I to nie pies jest tu problemem, lecz my. Uśmiech znów zniknął z twarzy Polly.

Joe patrzył jej prosto w oczy.

- Coś się między nami dzieje - rzekł. - Coś, czego nigdy w życiu nie doświadczyłem. Chciałbym wiedzieć, co to takiego. Uważam, że powinniśmy tak długo się spotykać, aż odkryjemy, co to jest i co może być dalej.

- No, no, przecież to ty powiedziałeś, że gdybyśmy się w sobie zakochali, to by była katastrofa. Zapomniałeś?

- To było wówczas, zanim mi przekazałaś, co powiedzieli ci Debbie i Jerome, zanim sam zacząłem zastanawiać się nad sensem mojego życia. Teraz postanowiłem to wszystko zmienić, mój styl życia i wiele rzeczy.

- No, tak. Ty to postanowiłeś, ale ja nie.

- Nie rozumiem? - zaniepokoił się Joe.

- Czy zastanawiałeś się kiedyś, dlaczego mieszkam w takiej klitce z zabytkowymi gratami?

- Owszem, tak. Przypuszczałem, że Dogwoodowie dobrze ci płacą i mogłabyś sobie pozwolić na coś lepszego.

- Zgadza się. Chciałabym, ale nie mogę.

- Co takiego?

- Joe, mówiłam ci, że mam brata i siostrę. To bliźnięta, które właśnie zaczęły studiować. Liczą na moją pomoc, która umożliwi im zdobycie wykształcenia... Rodzice robią, co mogą, ale i moje pieniądze są im potrzebne.

- Rozumiem - rzekł w zadumie Joe.

Teraz z kolei Polly zaczęła wędrówkę po salonie.

- Naprawdę? Naprawdę rozumiesz? Naprawdę? Podjęłam pracę najlepiej płatną z wszystkich oferowanych. Nieważne, że muszę niańczyć jakieś głupie pudle i papugi, którym odpowiada tylko jedzenie z najlepszych restauracji. Zarabiam tyle, że mogę mieć własne mieszkanie i mimo to pomagać Tedowi i Megan.

- Polly...

- Cicho. Teraz ja mówię!

- Ty też niszczysz ten dywan - zauważył Joe. - Usiądź i omówimy wszystko spokojnie.

- Nie. Tu nie ma czego omawiać. Mój brat i siostra niedawno zaczęli naukę. Wiem, co muszę robić jeszcze przez dobrych kilka lat.

- Ale...

- Cicho. Zawsze wiedziałam, co powinnam robić. I wcale się nad sobą nie użalam, wierz mi. Po prostu stałam się realistką. Kiedy miałam osiem lat, nie dla mnie były błyszczące, czerwone rowery ani nowe ubrania. Nauczyłam się wtedy nie narzekać, tylko cieszyć tym, co mam. Nie mogę, nie powinnam odkrywać tego, co mogłoby między nami być, bo wiem, że nigdy tego mieć nie będę. W moim życiu nie ma miejsca na marzenia, Joe. Mam zobowiązania, przed którymi nie ucieknę.

Z trudem powstrzymując łzy, Polly przystanęła i spojrzała na Joego.

- Od początku miałeś rację - powiedziała. - Gdybyśmy się w sobie zakochali, to by była katastrofa, straszna katastrofa. Nie... nie mogę się dłużej z tobą widywać, Joe. To by było bardzo nierozsądne.

Kiedy Joe wstał, Polly cofnęła się i obronnym gestem złożyła ręce na piersi.

- Nie, proszę - szepnęła drżącym głosem. - Nie przychodź tu, nie obejmuj mnie, nie całuj. Wiem, że prosząc cię, byś zostawił mnie w spokoju, robię to, co zrobić powinnam. Masz teraz przed sobą nowe, ciekawe życie i wierzę, że będziesz szczęśliwy. Moje życie musi być takie, jakie jest. Nie ma w nim miejsca na miłość i marzenia o szczęściu do grobowej deski. Po prostu nie ma, Joe.

- Mylisz się, Polly, bardzo się mylisz – zaprotestował Joe, podnosząc głos. - Przypuśćmy, tak tylko przypuśćmy, gdybyśmy się w sobie zakochali, gdybyśmy się pobrali, mieli gromadkę oziemi psa, to co? To wtedy twoja rodzina stałaby się moją. Rozumiesz? Mam dużo więcej

pieniędzy, niż zarabiam jako nauczyciel. Bez problemu mógłbym pomóc Tedowi i Megan.

- Nie żartuj - przerwała mu ostro Polly. - Nigdy na to nie pozwolę. To absurdalne!

- Wcale nie!

- Nie? Ciekawe, kiedy zacząłbyś się zastanawiać, czy wyszłam za ciebie dla pieniędzy?

- Mogłabyś? Mogłabyś wyjść za mnie dla pieniędzy?

- powtórzył cicho Joe.

- Oczywiście, że nie, idioto. Co za kretyńskie pytanie. I w dodatku obraźliwe.

- To ty przecież tak powiedziałaś - zaśmiał się Joe.

- Mnie nigdy by to nie przyszło do głowy, bo wiem, jaka jesteś.

- To nie jest ot, taka sobie rozmowa, panie Dillon. - Polly ujęła się pod boki. - Czyżbyś zapomniał, że to pożegnanie? I... i nie ma w tym nic śmiesznego.

Joe od razu przestał się uśmiechać. Mimo że Polly zabroniła mu się do siebie zbliżać, podszedł do niej i ujął w dłonie jej twarz.

Polly opuściła ręce, ale powstrzymała się przed objęciem Joego, przed ciepłem jego ciała, jego siłą, jego zapachem.

Joe patrzył prosto w jej oczy, a ona nie była w stanie spuścić wzroku.

- Polly - rzekł cicho - tyle się teraz dzieje, zmienia, i to wszystko następuje tak szybko. Słuchałem tego, co mówiłaś, naprawdę słuchałem.



Wiem, że jesteś przekonana, iż w twoim życiu nie ma miejsca na zmiany.

- Tak właśnie jest, Joe - szepnęła Polly. - Już się z tym pogodziłam.

Joe skinął głową, jakby chciał odpędzić kłębiące się w niej myśli.

Nie był jeszcze pewien, czy kocha Polly, ale bardzo chciał, by dano mu szansę, aby się o tym przekonał. Nie może, nie potrafi wyjść z tego mieszkania ze świadomością, że już nigdy w życiu miałby jej nie zobaczyć.

Znany był jednak z tego, że kiedy już wbił sobie coś do głowy, nic nie było w stanie tego zmienić. Nie dawał sobie wyperswadować, że zamieszkanie w getcie nie jest najlepszym sposobem na dotarcie do uczniów z Lincoln. Przez wiele lat pozostawał głuchy na wszelkie argumenty rodziców i znajomych, że przesadza z takim poświęcaniem się dla tych dzieciaków.

Dopiero prawdziwy cios, jakim była dla niego opinia Debbie i Jerome'a, sprawiła, że oprzytomniał.

Rozmowy, błaganie, namawianie Polly, przekonywanie jej, że przyszłość ma dla niej dużo więcej do zaoferowania, niż ona sądzi, niczego nie da. Potrzebne jest działanie, nie słowa.

Wymyśl coś, Dillon.

- Dobrze, Polly - rzekł. - Choć to dla mnie bardzo trudne, wiem, że muszę szanować twoje przekonania.

- Naprawdę? - zdziwiła się Polly.

Joe wypuścił z dłoni jej twarz, a ona w tej samej chwili zatęskniła za ciepłem jego rąk.

- Już nigdy cię już nie dotknę - powiedział i cofnął się o krok.

- Nie? - Już nigdy? Jakie to straszne, jakie niewiarygodnie smutne, jakie... Nie, nie, tak musi być. Zdecydowanie. - Ja... dziękuję ci. - Nie, nie będzie płakała. Jeśli z jej oczu popłyną łzy, nigdy sobie tego nie wybaczy. - Doceniam twoją wyrozumiałość.

- Cieszę się. - Joe westchnął, starając się, by zabrzmiało to bardzo dramatycznie. - Tyle tylko, że nigdy się nie dowiemy, czym naprawdę było to, co zaczęło się między nami, czym los zamierzał nas obdarować. Ale skoro tak ma być, niech będzie.

- Łatwo przyszło, łatwo poszło, co? - skomentowała Polly.

- Nie - rzekł szybko Joe. - Wcale nie jest mi łatwo, wierz mi, ale jestem człowiekiem, który akceptuje fakty. Ty dostarczyłaś mi ich aż nadto. Ale, powtarzam, fakty to fakty, więc niech będzie, co ma być.

- Niech będzie - szepnęła tylko Polly.

- Problem polega na tym... - zaczął w zamyśleniu Joe i zapatrzył się w sufit.

- Tak? - zainteresowała się Polly. Joe znów spojrzał jej w oczy.

- Wkrótce stanę się członkiem amerykańskiej klasy średniej. To dla mnie coś nowego. Najpierw żyłem wśród ludzi bogatych, potem z biedotą. Klasa średnia to dla mnie tajemnica. Będę więc potrzebował pomocy, twojej pomocy.

- W czym? - spytała ostrożnie Polly.

- Chcę kupić dom, meble, psa. - Joe wzruszył ramionami. - Nie mam pojęcia, od czego zacząć. Kogo mam prosić o pomoc? Celinę? Bufty? W sekundę znalazłyby mi dom rozmiarem podobny do koszar. Wiesz

co, one nawet meble robią sobie na zamówienie. Mnie, z pensją nauczyciela, na pewno na to nie będzie stać. Nie chcę korzystać z innych swoich funduszy, więc potrzebuję twojej pomocy.

- Ale...

- Posłuchaj, oboje jesteśmy dorośli. Możemy chyba stać się przyjaciółmi, kumplami.

- Kumplami? - Głos Polly przypominał raczej pisk.

- Pewnie - uśmiechnął się Joe. - To kwestia nastawienia. Uczucia nie podsycane bledną. Nie ma sprawy. A więc, Polly, przyjaciółko, czy pomożesz mi wybrać dom i meble? Czy mogę liczyć na twoje fachowe rady w wyborze psa?

- Nie żartuj, Joe. To naprawdę idiotyczny pomysł.

- Wcale nie. Sprawa jest oczywista. Masz talenty, których mnie brakuje. Ustaliliśmy już nowe zasady naszej znajomości. Jako osoby dorosłe, bez trudu będziemy panowali nad swymi uczuciami. Jesteś osobą dorosłą, Polly?

- Oczywiście, że jestem. Znowu próbujesz mnie obrażać.

- Nie, przedstawiam ci tylko fakty. Mój plan jest idealny. W każdym punkcie. Zgadza się?

- Chyba tak, ale...

- Dzięki, Polly. No, więc ruszam. Skombinuję kilka kartonów i zaraz zacznę pakować te nędzne graty, które mam w tak zwanym domu. Kiedy znajdziemy coś wartego kupienia, od razu będę się mógł przeprowadzić. Skontaktuję się z agencją wynajmu i kupna nieruchomości

i dam ci znać, co mi zaproponują. No to na razie! - mruknął, wychodząc.

- Zaczekaj.

Joe przystanął i spojrzał na nią przez ramię.

- Tak?

- Ja... to... to chyba nie... Kurczę blade, tak się to wszystko pogmatwało, że już sama nie wiem...

- To tylko kwestia zmiany nastawienia. Zobaczysz sama. Cześć... kumpelko.

Joe usiadł za kierownicą i z westchnieniem oparł głowę o zagłówek.

Ale był wykończony! Czuł się co najmniej jak maratończyk.

Przekonywanie Polly wcale nie było proste. Ale taki był jego plan.

A plany Joego Dillona były zawsze dobre.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Kiedy nazajutrz rano Polly Chapman przyszła do pracy, była bardzo zmęczona. Nie spała dobrze, kręciła się i wierciła w pościeli, a potem, kiedy udało jej się zdrzemnąć, męczyły ją dziwne, nonsensowne sny.

Po prostu nie była w stanie wyłączyć swego mózgu. Przez cały czas odtwarzał scenę jej ostatniego spotkania z Joem, przypominał jak echo jego słowa.

Polly weszła do szatni, powiesiła sweter i torebkę, do lodówki włożyła pudełko z drugim śniadaniem. Zatrzymała się przy klatce Jazzy, zawzięcie dziobiącej świeże winogrona.

- Przyjaciółmi? Kumplami? Czy to idiotyzm, Jazzy? Czy Joe Dillon zwariował?

- Joe - zaskrzeczała Jazzy. - Daj mi ptaka, Joe, i butelkę piwa.

Polly wzniosła oczy do nieba.

- Bardzo dziękuję za pomoc. Butelka piwa nie rozwiąże tego problemu. Muszę wiedzieć, czy powinnam zgodzić się na plan Joego. No? Nie siedź tak! Mów!

- Polly chce herbatnika?

- Nie, chcę odpowiedzi!

- Jezu, co z tobą? - powiedziała Nancy Dogwood, wchodząc do pokoju. - Na co potrzebujesz odpowiedzi?

- Na pytanie - westchnęła Polly. - Nie zwracaj na mnie uwagi, Nancy. Miałam bardzo dziwny weekend. Dziwny to nawet za mało powiedziane. - Był przecież także cudowny. Przecież kochała się z Joem. - Tyle się wydarzyło, że mam wrażenie, iż od piątku minęły całe tygodnie.

- Wyglądasz na zmęczoną - zauważyła Nancy, podchodząc do klatki Jazzy.

- Prawie w ogóle nie spałam. Ja... eee, nieważne. Zaraz dojdę do siebie. Muszę się tylko wziąć do roboty i zacząć myśleć o czymś innym.

- Nigdy nie widziałam cię takiej skonanej. Chciałabyś może ze mną porozmawiać? Jakie jest to pytanie, na które szukasz odpowiedzi?

- Joe - powiedziała Jazzy. - Chcesz się tulić, przyjacielu?

- Cicho!- jęknęła Polly.

- Joe? - powtórzyła Nancy. - Czyżby nasza Jazzy trafiła w sedno? Czy to Joe Dillon jest powodem twego zdenerwowania?

- Tak, ale to bardzo skomplikowane. Dzięki za dobre chęci, ale wolałabym o tym nie rozmawiać.

- Zaczynasz coś do niego czuć?

- Ja... No tak, owszem, ale nie chcę o tym mówić.

- A on też coś do ciebie czuje? Polly kiwnęła głową.

- Czy to nie wspaniałe!?! - rozpromieniła się Nancy.

- Nie!

- No, cóż - zmieszala się Nancy. - Przepraszam. Mnie wydawało się to cudowne.

- Ale tak nie jest - stwierdziła ze smutkiem Polly. - Jestem wykończona. Muszę się wziąć do roboty, zanim się całkiem rozkleję.

- Jeśli zechcesz ze mną porozmawiać, będę gotowa. Szczerze mówiąc, umieram z ciekawości.

- Mhm.

- Dobra, ruszaj do roboty. O, właśnie! Przed południem ma przyjść manikiurzysta z salonu dla psów, żeby zająć się paznokciami Pookiego.

- Co? - Polly szeroko otworzyła oczy.

- Zgadza się - roześmiała się Nancy. - Taką właśnie wiadomość zastałam dziś rano na automatycznej sekretarce.

- Ciągle trudno mi w takie rzeczy uwierzyć. Temu psu gotuje na zamówienie jedna z najdroższych restauracji w mieście, obrożę ma wysadzaną prawdziwymi kamieniami szlachetnymi, a jeszcze teraz osobisty manikiurzysta, który odwiedza go w domu.

Nancy wzruszyła ramionami.

- Jego właściciele na to stać.

- Nie o to chodzi, Nancy - powiedziała Polly. -W czasie tego weekendu poznałam parę nastolatków, którzy po skończeniu liceum chcą się pobrać. Debbie, przyszła panna młoda, powiedziała, że być może pewnego dnia ona i Jerome kupią sobie własne meble. Powiedziała to takim dziwnym tonem, jakby właściwie wiedziała, że to nierealne marzenie.

- A co to ma wspólnego z Pookiem i jego paznokciami? - zdziwiła się Nancy.

- To wszystko jest takie niesprawiedliwe. - Polly, którą coraz bardziej bolała głowa, mówiła teraz szybciej.

- Tak, zwierzęta dla wielu ludzi są rodziną, ale... Czy takim ludziom jak właściciele Pookiego wpadło kiedyś do głowy, że wokół nich są inni, którym być może mogliby pomóc, którzy naprawdę na to zasługują?

- To nie nasza sprawa, w jaki sposób i na co nasi klienci wydają swoje pieniądze, Polly. Dziwi mnie, że nagle zaczęłaś ich oceniać. W zeszłym roku pękałaś ze śmiechu, kiedy do jednego z naszych pensjonariuszy, do tego dobermana, sprowadzono skrzypka, żeby zagrał mu jego ulubioną serenadę. Dziewczyno, co się z tobą stało po tym weekendzie?

- Miałam do czynienia z ludźmi, nie ze zwierzętami - odparła cicho Polly. - Prawdziwymi, żywymi ludźmi, którzy mają marzenia i plany. Poznałam ich życie i nie pozostało to bez wpływu na moje.

- I jednym z tych ludzi jest Joe Dillon?

- Tak - szepnęła Polly. - Jednym z tych ludzi jest Joe.

Joe i Mark Jackson stali w gabinecie Marka w liceum imienia Lincoln.

- Dzięki, Mark - rzekł Joe, chowając do kieszeni kartkę, którą dał mu przyjaciel. - Dzięki za pomoc.



- Ta agentka jest bardzo sprawna - odparł dyrektor, - Na pewno znajdzie ci coś odpowiedniego. Bardzo się cieszę, Joe. Już najwyższy czas, byś zamieszkał w jakimś porządnym domu.

- Wiedziałeś, prawda? - spytał Joe. - Wiedziałeś, że dzieciaki z Lincolną uważają, że zwariowałem, mieszkając w tej okolicy.

Mark skinął głową.

- Uznałem, że nie ma sensu ci o tym mówić. Tyle razy słyszałem, jak obstawałeś przy swoim, jak broniłeś swego stanowiska, że nie chciało mi się po próżnicy strzepić sobie języka.

- Tak - mruknął Joe. - Miałeś rację. Nawet bym cię nie chciał słuchać.

- A więc powinniśmy podziękować Bogu za Polly Chapman - uśmiechnął się Mark. - Nareszcie będziesz miał jakieś życie poza szkołą, tak jak od początku powinno być. Czy jest szansa, że nasza sławna panienska od ptaka będzie częścią twojego nowego życia? - spytał po chwili.

- Kto wie? - westchnął Joe. - Ale jedno ci powiem, Mark. Jeśli szybko nie znajdę odpowiedzi na męczące mnie pytania, to chyba zwariuję.

- Ach, te kobiety! - zaśmiał się Mark. - Nawet najsilniejszego faceta załatwią.

- To wcale nie jest śmieszne. Mój mózg w ogóle nie jest w stanie pracować. Jeśli chcę ocalić choć resztki rozsądku, muszę skupić się na moim psie - rzucił i szybkim krokiem wyszedł z gabinetu.

- Joe nie ma psa - rzekł do siebie Mark, kiedy został sam. - Wpadłeś po uszy, przyjacielu - parsknął. - Panienska z ptakiem ustrzeliła cię na amen!

Przez następne trzy dni, czekając na jakąś wiadomość od Joego, Polly opracowywała plan, który miał ocalić jej zdrowe zmysły.

W czwartek wieczorem, w czasie kąpieli w drogiej, pachnącej pianie, dopięła ów plan *na* ostatni guzik.

Oparła głowę o brzeg wanny i westchnęła z satysfakcją.

Wszystko nareszcie zostało postanowione. Czowała się spokojna i opanowana.

Plan, który nawet w myślach wyobrażała sobie jako pisany przez duże P, był genialny. To fakt, przyznała w duchu, że niektóre jego elementy zapożyczyła z filozofii Joego, na przykład, że nie podtrzymywane uczucia rozpływają się w nicość. I co z tego?

Miała jedną, jedyną możliwość.

Mogła albo już nigdy nie spotkać się z Joem Dillonem, albo zgodzić się na jego plan. Ciekawe, czy i w jego myślach ów plan pisany jest przez duże P?

No, w każdym razie ona podjęła już decyzję. Zgodzi się pomóc Joemu w znalezieniu domu i umeblowaniu go. Spędzi z nim tyle czasu, ile będzie potrzeba. Jako jego kumpelka. Jako przyjaciółka.

Im więcej godzin spędzi z Joem w tej roli, tym szybciej zbledną romantyczne wspomnienia... O jego pocałunkach, pieszczotach, uśmiechu, bliskości... Nie podsycane - uczucia związane z tymi cudownymi

chwilami po prostu się rozpląną. Nie pozostanie po nich nawet najmniejszy ślad.

Kiedy Joe będzie miał już ten swój miły, mieszczkański dom, kiedy wybiorą już do niego odpowiednie meble, jej misja zostanie zakończona. Będzie mogła odejść od niego i od jego nowego życia. Bez jednego spojrzenia za siebie, bez złamanego serca.

Czy to prawda? Pewnie.

- Zawsze szukaj drugiej, lepszej strony medalu - powiedziała Polly. - Nawet pomogę mu znaleźć psa, a to na pewno będzie zabawne.

Tak, jej Plan jest dobry, bardzo dobry. A w obecności Joego, kiedy będą się spotykać tylko jako kumple, dużo łatwiej jej będzie ochłodzić rozbudzoną namiętność. Bo w samotności nie mogła za siebie ręczyć. - Zbyt trudno byłoby jej walczyć ze wspomnieniami.

- Dobra robota, Polly! - powiedziała. - Drogi panie Dillon, jestem gotowa na poszukiwanie domu dla pana. Proszę zadzwonić i powiedzieć, czy znalazł pan już coś godnego obejrzenia.

W tej dokładnie chwili zadzwonił telefon. Na nagły dźwięk Polly drgnęła jak oparzona. Wyciągnęła korek, wyszła z wanny i owinęła się ręcznikiem.

Wciąż ociekająca wodą, pobiegła do sypialni i podniosła słuchawkę stojącego na nocnym stoliku telefonu.

- Halo? - powiedziała, z trudem łapiąc oddech.

- Polly? Tu Joe. Jesteś bardzo zadyszana. Przeszkodziłem ci w czymś?

- Nie, właściwie nie. Brałam kąpiel.

Kąpiel? powtórzył w myślach Joe. Polly rozmawia z nim prawie naga, może tylko owinięta ręcznikiem? Ma wilgotną skórę i pachnie jakimś olejkiem. Jej twarz jest zarumieniona i... Nie, ta kobieta gra nie fair.

- A więc będę się streszczał - rzekł. - Nie chcę, byś się przeziębiła.

- Rzeczywiście trochę mi zimno.

Głos Joego jest taki niski, ochrypły, męski, rozmarzyła się Polly. Uwielbiała ten głos i mogłaby go słuchać godzinami. A kiedy Joe się śmiał? Nie, tego było już dla niej za dużo.

Gdyby Joe był w tej chwili razem z nią, na pewno nie byłoby jej zimno. Wprost przeciwnie - byłoby jej bardzo, bardzo gorąco.

- Polly?

- Co? A, tak, jestem, Joe.

- Agentka, z którą się skontaktowałem, znalazła cztery domy, które powinienem obejrzeć w sobotę. Pasuje ci?

- Tak, pasuje.

- Wspaniale. Przyjadę po ciebie o dziewiątej. Chcę zacząć wcześniej inspekcję, bo wieczorem mam mecz.

- Macie mecz w sobotę wieczorem? Chętnie bym go obejrzała. Poprzednim razem znakomicie się bawiłam i... mogłabym znów spotkać się z Debbie i Jerome'em i...

- Nie.

- Nie? Nie mogę spotkać się z Debbie i Jerome'em? Dlaczego?

- Bo nie możesz iść na mecz sama. Nie chcę, żebyś samotnie błąkała się po tamtej okolicy. Musiałabyś zaparkować gdzieś bardzo daleko, a potem iść kawał piechotą. Nie, mowij nie ma!

Polly aż zmrużyła oczy.

- Bardzo cię przepraszam, mój drogi, ale nie jesteś moim stróżem. - Ani kochankiem, pomyślała. Już nie. O rany, ale to przygnębiające. - Jako mój kumpel i przyjaciel możesz służyć mi radą, z której ja mogę skorzystać albo nie.

- Jesteś niemożliwa - rzekł Joe. - Pomyśl tylko rozsądnie. W tej dzielnicy wieczorem wcale nie jest bezpiecznie. W dzień zresztą też nie. I ty sama dobrze o tym wiesz.

- Wiem - mruknęła w zamyśleniu Polly. - A wiesz, mam pomysł! Daj Debbie i Jerome'owi mój numer telefonu i poproś, żeby do mnie zadzwonili. Umówię się z nimi w jakimś miejscu, razem poszukamy parkingu, a potem całą trójką przespacerujemy się do szkoły.

- Dobrze, zrobię to - westchnął Joe.

- Mam nadzieję, że znów wygramy. Przecież jeszcze nikt nas nie pokonał! To niesamowite.

- Drużyna, z którą gramy w sobotę, jest bardzo silna. Ich środkowy ma ponad dwa metry. Włożenie piłki do kosza to dla niego pestka.

- Wiesz, na tamtym poprzednim meczu tak głośno i zawzięcie nam kibicowałam, że nie zdziwię się, jeśli Debbie i Jerome nie będą chcieli obok mnie siedzieć.

- Jestem pewien, że z przyjemnością znów cię zobaczą - zapewnił ją Joe. - Ja... mnie też było bardzo przyjemnie, kiedy widziałem, że dasz z siebie wszystko jako kibic. Cieszyłem się, że jesteś z nami.

- Dziękuję, Joe. Ja też czułam się szczęśliwa, że tam byłam.

Przez dłuższą chwilę oboje milczeli. Wiedzieli, co chcieliby sobie powiedzieć, ale żadne się na to nie zdobyło.

W końcu Joe przerwał tę niezręczną ciszę.

- No, nie będę cię dłużej zatrzymywał. Nie chcę, żebyś zamarzła. A więc do zobaczenia w sobotę wieczorem. Do widzenia, Polly. Przyjadę po ciebie w sobotę o dziewiątej.

- Dobrze. Do zobaczenia.

Polly odłożyła słuchawkę i pomaszerowała z powrotem do łazienki. „Kumpel, przyjaciel, kumpel, przyjaciel”, powtarzała sobie w rytm myśli.

Joe odłożył słuchawkę i zapatrzył się w przestrzeń.

Jak na razie wszystko idzie dobrze, pomyślał z satysfakcją. Polly postąpi zgodnie z jego planem i pomoże mu wybrać odpowiedni dom.

Jest właściwie tylko jeden problem. Musi jakoś zapanować nad swoimi zmysłami. Wystarczyło, by usłyszał jej głos i wyobraził ją sobie owiniętą tylko ręcznikiem, a jego ciało zaczynało płonąć.

Tak, ogarniało go pożądanie. Ale to rzecz zupełnie normalna. Jest przecież zdrowym mężczyzną, a Polly bardzo atrakcyjną kobietą.

Pożądanie nie ma nic wspólnego z uczuciami, z pytaniami, na które wciąż nie może znaleźć odpowiedzi.

- Pożądanie - rzekł nagle. - Pożądanie?

O rany, co za idiotyczne słowo! Takie zimne i obojętne. Zupełnie nie pasuje do tego, co on czuje wobec Polly.

Joe zerwał się na równe nogi i ruszył do kuchni. Po drodze omal się nie przewrócił o ogromny karton, stojący pośrodku niewielkiego salonu.

Nie widzącym wzrokiem zajrzał do lodówki i zaraz zatrzęsął drzwiczki.

- Dobrze, Dillon - mruknął do siebie. - Przemyśl to wszystko. Uspokój się, opanuj i po prostu pomyśl.

Przyznał przed chwilą, że to, co było między nim a Polly, to nie tylko seks i pożądanie.

Czy to jest odpowiedź na jedno z dręczących go pytań?

Czy jeśli mężczyzna przyznaje się, że kochał się z kobietą, a nie tylko uprawiał z nią seks, to znaczy, że tę kobietę po prostu kocha?

- Cholera jasna! - mruknął. - Nie wiem. Dlaczego tego nie wiem?

Polly miała wrażenie, że ten piątek nigdy się nie skończy. Co chwila spoglądała na zegar, przekonana, że przestał chodzić.

Była rozdrażniona i z trudem powstrzymywała się od kąśliwych uwag na temat właścicieli zwierząt, którymi się opiekowała.

Jedynym miłym wydarzeniem był telefon od Debbie, która powiedziała, że i ona, i Jerome już nie mogą się doczekać spotkania z ich nową przyjaciółką, Polly. Umówili się na sobotę przed supermarketem kilka przecznic od szkoły.

Późnym popołudniem, czytając syjamskiemu kotu po raz trzeci z rzędu „Pinokia”, Polly miała już naprawdę tego wszystkiego dość.

Czy kiedy Jerome i Debbie byli dziećmi, ktokolwiek czytał im o Pinokiu? Czy ktoś tulił ich do snu, sprawiał, że czuli się bezpieczni i kochani?

Czy rodzice, walczący o przetrwanie w tym getcie, mieli jeszcze fizyczną i psychiczną energię na takie rzeczy jak bajki i przytulanie dzieci na dobranoc?

- Wielki Boże, Polly - westchnęła Nancy, wchodząc do pokoju. - Jeszcze nigdy nie słyszałam, by ktoś czytał Pinokia takim ponurym głosem. Temu kotu będą się po nocy śniły koszmary.

Polly ze złością zatrzęsnęła książkę.

- Nancy, to idiotyczne - powiedziała. - Na miłość boską, ja czytam bajkę kotu. Na pewno mogłabym robić coś ważniejszego. Z trudem, ciężką pracą, zdobyłam dyplom. Dużo umiem i mogłabym... E, nieważne! Przepraszam cię. Zapomnij, że w ogóle coś mówiłam.

Nancy przysunęła sobie krzesło i usiadła obok Polly.

- Polly - zaczęła, wyraźnie zaniepokojona. - Mam wrażenie, że praca u nas nie podoba ci się już tak bardzo jak kiedyś, prawda?

Polly przez chwilę w zamyśleniu wpatrywała się w leżącą na jej kolanach książkę.

- Tak, chyba masz rację. Nagle zaczęło mi przeszkadzać to wszystko, co robią właściciele naszych podopiecznych. Na świecie jest tylu potrzebujących ludzi, że coraz mi trudniej tylko się śmiać z tego, co dostają tutaj te zwierzęta.



- Myślisz o tym, żeby nas opuścić?

- Nie wiem, Nancy. Wszystko się nagle tak pokompli-kowało. Zresztą nie mogę myśleć tylko o sobie. Brat i siostra liczą na moją pomoc. - Polly zdobyła się na słaby uśmiech. - A wy nieźle mi płacicie za czytanie bajek kotom.

- Robert i ja nie chcielibyśmy cię stracić. Jesteś częścią naszej rodziny. Porozmawiam z Robertem i może uda się nam znaleźć jakieś wyjście, satysfakcjonujące dla obu stron. Co ty na to?

- Tak, to dobry pomysł. Przepraszam, że sprawiam wam kłopoty, Nancy.

- Nie masz za co przepraszać. Cieszę się, że odbyliśmy tę rozmowę. A teraz idź do domu i baw się dobrze przez cały weekend. Masz jakieś interesujące plany?

- Jutro mam cały dzień zajęty. Ale czy będzie zabawnie? Nie wiem.

Nazajutrz rano, czekając na Joego, Polly wygłosiła sobie w duchu niejeden wykład o tym, jak to powinna zachować emocjonalny dystans w stosunku do targających nią emocji. Miała już dość tych dywagacji.

- Uspokój się. Gadanie nie wystarczy. Ważne jest to, co będziesz robić - powiedziała w końcu na głos.

Joe zapukał do jej drzwi punktualnie o dziewiątej. Polly otworzyła mu co prawda z uśmiechem na twarzy, ale i z niepokojem w sercu.

- Cześć - wyjąkała, bo na jego widok ogarnęło ją drżenie. - Jak się dziś miewasz?

- Dobrze - mruknął, bo i jego na widok Polly coś ścisnęło w gardle.
- Jesteś gotowa? Możemy iść?
- Jasne. - Polly sięgnęła po torebkę. - Ruszajmy.
- W pierwszym domu, który odwiedzimy, będzie na nas czekać agentka, Sue Simpson - poinformował ją Joe w drodze do auta.
- Musisz... musimy... obejrzeć dziś aż cztery domy?
- Tak.

W samochodzie Polly czuła się bardzo niezręcznie. Jakoś nie przychodził jej do głowy żaden bezpieczny temat do rozmowy. Bardzo to było kłopotliwe i deprymujące.

- Ładna dziś pogoda - zauważył Joe, przerywając w końcu panujące milczenie.

- Tak. Jak na tę porę roku jest bardzo ciepło, prawda? - próbowała podtrzymać rozmowę Polly.

- Tak.

Jezus Maria! Na co im przyszło? Będą rozmawiać o pogodzie? Jak para znajomych, których nic nie łączy, którzy nie mają sobie nic do powiedzenia?

Nawet nie mógł zapytać Polly, czy dobrze spała, bo pytanie to od razu kojarzyło mu się z obrazem jej w łóżku... z ich cudownym Kochaniem się.

Spodziewał się, że przyjaźnienie się z Polly na pewno nie będzie łatwe, ale nie podejrzewał, że aż tak. Tylko w ten jednak sposób mógł być blisko niej i czekać, aż znajdzie odpowiedź na wszystkie niepokojące go pytania.

Skoro więc tak musi być, niech będzie. Resztę drogi do pierwszego z czterech domów przebyli w całkowitym milczeniu.

Sue Simpson była pulchną, sympatyczną panią po pięćdziesiątce. Z uśmiechem powitała Polly oraz Joego i każdemu z nich wręczyła kartkę z dokładnymi informacjami o domu, który mieli zamiar obejrzeć.

Po dwóch minutach oboje, i Polly, i Joe, wiedzieli, że to nie to. Dom był cały wyłożony ciemnym drewnem, przez co pokoje wydawały się małe i ponure.

- No to ruszamy dalej - oznajmiła nie zrażona Sue. - Jedźcie za mną do domu numer dwa.

Dom numer dwa również nie spodobał się Polly i Joemu. Właściciele wyburzyli w nim większość wewnętrznych ścian, chcąc uzyskać efekt przestronności. W rezultacie dom wyglądał jak ogromny magazyn mebli.

Dom numer trzy wymagał nowego dachu, całkowitej wymiany wszystkich instalacji i pozbycia się jaskrawopomarańczowej wykładziny.

- Wiecie co? Zaczynam już wątpić, czy coś znajdziemy - westchnęła Polly.

- Proszę, nie zrażajcie się. Poczekajcie, aż zobaczycie to, co zostawiłam na koniec. Najpierw chciałam wam ogólnie przedstawić ofertę rynku.

- W porównaniu z tym, co zobaczyliśmy, mój dotychczasowy dom zaczyna wyglądać całkiem nieźle - mruknął Joe.

Polly ledwo powstrzymała się od śmiechu. Pozostał więc im do obejrzenia dom numer cztery.

- O rany.

To było wszystko, co Polly potrafiła z siebie wykrztusić na jego widok.

- No, to już jest coś - stwierdził Joe.

Był to niewielki dom w stylu wiejskim, zbudowany z czerwonej cegły. We frontowym ogrodzie rosły dwie ogromne morwy. Ganek był na tyle duży, że można było tam nawet przyjmować gości.

- Dom jest pusty - wyjaśniła swoim klientom Sue. - Jego właściciele przenieśli się na Alaskę i chcą go szybko sprzedać. Obejrzyjcie sobie wnętrze. Ja poczekam na dworze, żeby was nie kępować, ale będę w pobliżu, jakbyście mieli jakieś pytania.

Kiedy weszli do środka, Polly wiedziała, że się uśmiecha, ale nic nie mogła na to poradzić.

Idealny dom, pomyślała. Po prostu idealny.

Ładny dom, pomyślał Joe. O coś takiego mu właśnie chodziło.

Pokoje były duże i bardzo słoneczne. Wykładzina na podłodze miała kolor mlecznej czekolady, a wyposażenie kuchni było nowe i błyszczące.

W jadalni było ogromne, wykuszowe okno i miła nisza, w której można by jadać śniadania.

W jednym skrzydle mieściła się główna sypialnia i łazienka, w drugim dwie sypialnie i jeszcze jedna łazienka.

W salonie cieszył oko kamienny kominek i sięgające sufitu dębowe półki na książki.

- Co o tym myślisz? - zwrócił się Joe do Polly.

- Według mnie ten dom jest cudowny, Joe - odrzekła Polly z uśmiechem.

- Tak, zgadzam się z tobą - kiwnął głową Joe. - Obejrzę jeszcze podwórko z tyłu.

- Dobrze.

Kiedy Joe zniknął, Polly przeszła korytarzem i stanęła w progu jednego z dużych, słonecznych pokoi.

Jego przeznaczenie aż rzucało się w oczy. Pokój dziecienny. Jedną ze ścian można by wykleić tapetą w króliczki albo misie.

Było tu miejsce na łóżeczko, stolik do przewijania, półeczki i pudła na zabawki i idealne miejsce przy oknie, gdzie mógłby stanąć bujany fotel.

Jej fotel, ten, który jest teraz w jej mieszkaniu, ten, w którym jej matka spędzała całe godziny, kołysząc swoje kolejne pociechy.

To w tym fotelu usiądzie ona, Polly Chapman, i tulić będzie w ramionach owoc miłości jej i Joego Dillona.

W zamyśleniu Polly podeszła do okna...

Kiedy rozejrzała się po pokoju, oczami wyobraźni zobaczyła to, o czym myślała.

Bujany fotel, białe łóżeczko, lakierowany stolik do przewijania, kolorowe zabawki na półkach.

Tylko w marzeniach mogła sobie pozwolić na słuchanie głosu serca, a nie rozumu.

I wtedy wszystkie jej myśli, jej marzenia koncentrowały się na Joe.

Na mężczyźnię, który dzieliłby z nią te wnętrza i uczynił z nich prawdziwy, rodzinny dom.

Na mężczyźnię, który byłby jej mężem.

I ojcem leżącego pod kołderką niemowlęcia.

Tak, tylko w myślach, w marzeniach mogła się do tego przyznać.

Kochała Joego Dillona.

Polly uśmiechnęła się i, tańcząc na palcach, zachwycała się stworzonym w jej wyobraźni pokojem.

- Tak, tak, na tapecie będą misie - zaśpiewała cichutko. - Joe i ja wylepimy pokój taką właśnie tapetą.

I będzie muzyka. Dla naszej dzidzi musi być muzyka.

- Joe będzie cudownym ojcem. Stworzymy taką szczęśliwą rodzinę. Miłość i śmiech wypełnią ten dom aż po dach. Kocham cię, maleństwo. O, i ciebie też kocham, Joe.

Joe oparł się o ścianę tuż obok otwartego okna do pokoju, w którym Polly szeptała do siebie.

Serce waliło mu w piersi jak oszalałe, a po szyi spłynęło kilka kropel potu.

Mój Boże, Polly Chapman mnie kocha. Jest prawdziwie i szczerze we mnie zakochana.

Wyobraża sobie ten dom jako nasz dom, a ten pokój jako pokój dziecienny dla naszego dziecka.

Oddaje się marzeniom, na które, jak twierdzi, nie ma w jej życiu miejsca.

Polly go kocha.

Czy to jest cudowne? Czy raczej straszne i przerażające?

Dlaczego nie potrafi odpowiedzieć na te pytania? Nie, tak dłużej nie może być.

Musi znaleźć odpowiedzi na te męczące, dniem i nocą torturujące go pytania.

Joe oderwał się od ściany, wszedł do domu i stanął w progu przyszłego pokoju dzieciennego.

- Polly - rzekł cicho.

- Tak? - wyjąkała zaskoczona i wytrącona z równowagi Polly.

- Ogródek za domem będzie idealny dla psa.

- Dla kogo? A, tak, dla psa. Dla psa, którego chcesz sobie kupić.

- Naprawdę podoba ci się ten dom?

- Jestem nim zachwycona - odparła Polly, zdobywając się nawet na lekki uśmiech.

I tobą też, Joe, dodała w myślach. O Boże, kiedy to się stało? W którym momencie tak przestała nad swoimi uczuciami panować, że pozwoliła swemu sercu się zakochać?

Nie, Joe nigdy nie może się o tym dowiedzieć.

- A teraz i ja zobaczę ogródek za domem - mruknęła i wybiegła z pokoju.

Joe mógł obejrzeć sobie pokój dziecinny. Tapeta w misie. Niemowlę - owoc miłości jego i Polly, jego żony. Muzyka i śmiech wypełniające te ściany?

Czy on tego właśnie pragnie?

RS



## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Kiedy Joe odwiózł ją do domu, resztę dnia Polly spędziła na sprzątaniu i czyszczeniu wszystkiego, co wpadło jej w ręce, nawet rzeczy, które czyszczenia nie wymagały.

Chciało jej się płakać i z ogromnym wysiłkiem powstrzymywała łzy. Była na siebie wściekła, że nie potrafi panować nad swoimi uczuciami. Ogarniała ją złość na to, co czuje. Była zła na Joego.

Po raz pierwszy w życiu była zakochana i z tego powodu czuła się bardzo, bardzo nieszczęśliwa.

Pozwoliła sobie na marzenia, do czego nie miała prawa. I za to musi zapłacić.

Skubiąc późny obiad, na który wcale nie miała apetytu, uświadomiła sobie, że nie ma ochoty iść wieczorem na ten mecz drużyny z Lincolna. Nie miała jednak wyboru, bo była już umówiona z Debbie i Jerome'em.

Ale jak wytrzyma wśród rozwrzeszczanych kibiców sali, mając cały czas przed oczami Joego Dillona, mężczyznę, którego kocha?

Kiedy zabrzmiał gong, kończący ostatnią kwartę meczu, będzie to równocześnie zakończenie ostatniego spotkania z mężczyzną, który skradł jej serce.

Wiedziała, że nie będzie w stanie wybrać się z nim na poszukiwanie mebli do tego pięknego, przytulnego, słonecznego domu, za który już wpłacił zaliczkę. Nie mogłaby znów wejść do tych pokoi, wyobrażając sobie, że będzie tam mieszkał tylko Joe. Bez niej.

Polly z rezygnacją spojrzała na zegarek i wstała od stołu. Posprzątała szybko kuchnię, wzięła prysznic i przebrała się.

A potem, jak to ona, postarała się znaleźć coś pocieszającego w tej wcale niewesołej sytuacji.

Idąc na mecz, przynajmniej kilka godzin spędzi w wesołym, beztro-  
skim towarzystwie, z dala od wszelkich smutnych myśli.

Po odwiezieniu Polly do domu Joe wracał do swojej dzielnicy.

W połowie drogi poczuł nagły impuls, który kazał mu pojechać w  
całkiem inną stronę

Zrobił to na najbliższym skrzyżowaniu...

Wkrótce zaparkował przed niewielkim budynkiem z czerwonej ce-  
gły. Wsiadł z auta, przeszedł przez trawnik i stanął pod jedną z morw.

Zmżył oczy, wyobrażając sobie wnętrze swojego domu. W my-  
ślach zaczął go meblować.

Na wysokich, dębowych półkach ustawił książki i różne drobiazgi,  
przy kominku postawił krzesła, w rogach lampy, dębowe stoliki i wy-  
godną kanapę.

W dużej sypialni znalazło się ogromne łóżko, dębowe nocne szafki, szafa i komoda. W przyległej łazience wisiały dwa komplety ręczników.

Potem długim przedpokojem przeszedł do drugiego skrzydła i stanął w progu pokoju, w którym nie tak dawno oddawała się marzeniom Polly.

Z początku pokój ten był pusty.

Szybko jednak, jakby uniosła się sprzed jego oczu jakaś gęsta mgła, ujrzał dziecięce łóżeczko... białe, tak, białe, i biały stół do przewijania, kolorowe zabawki na półkach i misie na ścianie. Słyszał też muzykę, słodką kołysankę płynącą ze stojącej na szafce pozytywki.

I zobaczył też Polly, stojącą obok łóżeczka, i tuż obok niej siebie, obejmującego ją ramieniem.

I w tej samej chwili Joe Dillon znalazł w końcu odpowiedzi na wszystkie swoje pytania.

Siedząc teraz na schodkach domu, który wkrótce pełen będzie miłości i śmiechu, zrozumiał wszystko.

Kocha Polly Chapman.

Myśl ta sprawiła mu ogromną radość. Ogarnął go dawno nie odczuwany spokój.

- Tak - rzekł z uśmiechem.

Potem wstał i wyciągnął w górę ramiona.

- Tak! - krzyknął.

Po drodze do domu jednak uśmiech powoli zniknął z jego twarzy.

Polly go kocha. Naprawdę go kocha i to jest cudowne. Do prawdziwego, pełnego szczęścia czeka go jednak jeszcze długa droga. Musi przekonać Polly, by została jego żoną, by razem spędzili resztę życia i wychowywali piękne dzieci w pełnym muzyki i misiów pokoju dziecięcym.

Tak, wiedział, że będzie to ciężkie zadanie, bo Polly Chapman nie pozwala sobie na nadzieje i marzenia. Jest skoncentrowana wyłącznie na swoich obowiązkach, na pomocy bratu i siostrze.

W jej życiu, jak to kiedyś powiedziała, nie ma miejsca na miłość, małżeństwo, dom i rodzinę.

Ale to przez nią on się zmienił, przez to, że powiedziała mu, co Debbie i Jerome sądzą o głupim trenerze Dillonie mieszkającym w getcie.

I przez nią, dzięki jej miłości, zapragnął szczęścia w życiu osobistym.

- Mam zamiar panią zdobyć, panno Chapman - rzekł głośno, groźnie mrużąc oczy. - I mam zamiar wygrać tę batalię. Muszę być z panią.

Przyszłość bez Polly wydała mu się nieskończenie ponura. Myśl, że miałby zamieszkać w tym domu bez niej, była nie do przyjęcia. Życie bez tego wesołego koliberka byłoby smutne, puste i samotne.

Zrobi, co w jego mocy, by przekonać Polly, aby pozwoliła mu przejąć swoje finansowe zobowiązania wobec rodzeństwa.

Zrobi, co będzie mógł, by Polly mogła zrealizować swoje skrywane głęboko marzenia. Polly będzie jego żoną.

Co postanowiwszy, Joe Dillon stał się trenerem DuTonem i zaczął szykować się do czekającego go wieczorem meczu.

Z każdym kilometrem przybliżającym ją do południowej części miasta i spotkania z Jerome'em i Debbie, Polly stawała się coraz bardziej spięta. Tak mocno ścisnęła kierownicę, że aż zbieleły jej palce.

Nie, nie mogę, myślała gorączkowo.

Czuła, że nie będzie w stanie siedzieć w tej sali, patrzeć na Joego, wiedząc, że choć go kocha, nie ma dla nich wspólnej przyszłości. Nawet gdyby i on się w niej zakochał, nie mogliby być razem.

Nie, nie zrobi tego! To tak jakby znów godziła się na używany, zielony rower zamiast nowego i czerwonego.

- Nie mogę iść na ten mecz - szepnęła przez łzy. - Nie mogę.

Kiedy zajechała przed sklep, przed którym umówiona była z Debbie i Jerome'em, zobaczyła, że już tam na nią czekają.

- Cześć, Polly! - Debbie podbiegła do auta i otworzyła drzwi od strony pasażera. - Bardzo się cieszę, że cię widzę. Powiedz „cześć”, Jerome.

- Cześć, Jerome - rzekł posłusznie Jerome i wybuchnął śmiechem. - Przepraszam, nie mogłem się powstrzymać. Cześć, Polly.

- Cześć - odparła cicho.

Popatrz tylko na nich, pomyślała. Są tacy młodzi, pełni życia, tacy szczęśliwi. Marzą o wspólnej przyszłości, o małżeństwie, o dziecku. Postanowili, że opuszczą to getto, zamieszkają w lepszym miejscu i, być może, pewnego dnia będą nawet mieli własne meble.

- Posłuchajcie, moi drodzy - rzekła. - Nie miałam jak się z wami skontaktować, więc przyjechałam tu, żeby wam powiedzieć, że nie czuję się dobrze. Podwiozę was do szkoły, a sama jadę do domu i kładę się do łóżka.

- Jesteś chora? - zaniepokoiła się Debbie. - Szkoda.

- Czy trener wie, że nie będzie cię na meczu? - spytał Jerome.

- Nie - odparła Polly. - Przekażcie mu, co się stało. Powiedzcie, że złapałam jakiegoś wirusa czy coś w tym rodzaju. Wsiadajcie, to was podrzucę.

- Nie wyglądasz na chorą - zauważyła Debbie, kiedy już oboje z Jerome'em siedzieli obok niej. - No, może jesteś trochę blada, ale... czy ty i trener Dillon o coś się pokłóciliście? Czy to dlatego nie chcesz iść na mecz?

Polly pokręciła głową. Debbie spojrzała jej w oczy.

- No, miałam rację - oświadczyła. - Mów, co się stało. Co ten facet ci zrobił?

- Debbie, proszę - wyjąkała Polly, z trudem przełykając ślinę. - Naprawdę mam gripę. Nie wierzysz mi?

- Nie, nie wierzę. Masz wejść do tej sali i powiedzieć Dillonowi, co leży ci na sercu.

- Debbie, na miłość boską - jęknął Jerome. - Nie wtrącaj się w nie swoje sprawy.

- Wiem, że nie powinnam, ale tym razem myślę, że muszę.

- Chyba rzeczywiście masz rację.

- Mam. Polly i nasz trener są w sobie zakochani i...

- Debbie - przerwała jej Polly - nie mówiłam, że jestem w nim zakochana ani że on jest zakochany we mnie.

- Wiem, ale nie jestem dzieckiem. Mam oczy, moja droga. A to wi-  
dać jak na dłoni. Prawda, Jerome?

- Ja się nie wtrącam.

- Jesteś beznadziejny. Polly, słuchasz mnie?

- Jesteśmy na miejscu. Wsiadajcie szybko, bo jakieś auto siedzi mi  
na kółku. Nie mogę blokować miejsca.

- Ale... - próbowała jeszcze Debbie.

Jerome otworzył drzwi i pociągnął Debbie za sobą.

- Wyłaż. Pa, Polly.

Ledwo Jerome zatrzasnął drzwiczki, Polly natychmiast odjechała.  
Po jej policzkach płynęły łzy.

W sali, w której tego wieczoru odbywał się mecz, rozgrzewały się  
już obie drużyny.

Kibice dopiero zaczynali się schodzić.

Joe stał pod ścianą i rozmawiał z trenerem przeciwnika. Było to ide-  
alne miejsce do obserwacji - na wprost drzwi.

Kiedy zobaczył wchodzącą Debbie, a tuż za nią Jerome, a, serce za-  
częło mu szybciej bić. Za chwilę pojawi się i Polly.

Ale Polly nie było.

Gdzie ona jest? Co się stało? Debbie ma taką minę, jakby miała  
ochotę kogoś zamordować. Co się tu, do cholery, dzieje?

- Przepraszam cię, Jimmy - powiedział szybko do kolegi trenera. - Muszę zamienić słowo z moimi uczniami.

- Jasne. Miło było z tobą pogadać, Joe.

Joe błyskawicznie przeszedł przez salę i stanął przed Debbie i Jerome'em.

- Gdzie jest Polly?

- Muszę z panem porozmawiać, trenerze - oznajmiła Debbie. - Na osobności.

- Dobrze. Chodźmy do szatni.

W rzeczonym miejscu Joe powtórzył swoje pytanie.

- Gdzie jest Polly?

Jerome wpatrywał się w jakąś plamę na ścianie i stukał butem w podłogę. Debbie wzięła głęboki oddech i wsparła się pod boki.

- Panie trenerze - zaczęła. - Nie mówię do pana jak uczennica do nauczyciela, lecz jak kobieta do mężczyzny. Rozumie pan?

Joe bez słowa skinął głową.

- To dobrze. A teraz niech pan słucha. Polly jest moją przyjaciółką. Jerome'a też. Przyjechała aż tutaj, żeby nam powiedzieć, że jest chora i nie może przyjść na mecz. Wcale nie była chora. To było widać. Tak bardzo chciało jej się płakać, że aż przykro było na to patrzeć. Podejrzewam, że to pana wina, trenerze. Polly jest naprawdę wytrącona z równowagi i to pan jest tego przyczyną. Jeśli się pokłóciliście, to niech pan to jakoś naprawi, bo tak wspinała osoba jak Polly nie powinna siedzieć w domu i płakać z powodu jakiegoś mężczyzny. Nawet ta-



kiego porządnego jak pan. Żaden mężczyzna nie jest wart jednej kobiecej łzy.

- Hej, tu już chyba przesadziłaś - zaprotestował Jerome.

- A ty bądź cicho! Panie trenerze, jeśli straci pan Polly Chapman z powodu jakiejś głupoty, to jest pan największym kretyńcem na świecie. Byłoby to jeszcze większym idiotyzmem niż pańskie mieszkanie tu w getcie. Jak tylko mecz się skończy, niech pan jedzie do Polly i wszystko naprawi. No, dobra! Tyle miałam panu do powiedzenia. Do widzenia, trenerze. Chodź, Jerome.

Joe czuł się, jakby otrzymał potężny cios w sam splot słoneczny.

Polly jest smutna i zdenerwowana? Prawie płakała, przekonując Debbie i Jerome'a, że jest zbyt chora, by przyjść na mecz? Płakała z jego powodu?

Dlaczego?

Aż bał się pomyśleć, że to może dlatego, bo w końcu dotarła do niej prawda. Przyznała przed samą sobą, iż go kocha. Chce dzielić z nim swoje życie. I płacze, bo nie wierzy, że te jej pragnienia mogą się spełnić.

Wiedział już, co musi zrobić.

Najpierw jednak czekał go mecz. Nie jedyny, który postanowił wygrać.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Drużyna liceum imienia Abrahama Lincolna wygrała mecz trzema punktami, chociaż nieobecny myślami trener praktycznie w ogóle jej nie pomagał.

Joe ledwo dotrwał do końca meczu, kiedy to wreszcie mógł przestać być trenerem i przeistoczyć się w zwyczajnego, zakochanego mężczyznę.

Wiedział, że musi zobaczyć się z Polly i że od jej reakcji na jego słowa zależy cała jego - ich - przyszłość.

Tym razem i on starał się myśleć pozytywnie.

Polly go wysłucha. Naprawdę go wysłucha. Zgodzi się, by przejął jej finansowe zobowiązania wobec brata i siostry. Przyjmie jego oświadczenia i od tej pory będą żyli długo i szczęśliwie.

Polly, ubrana w czerwony, flanelowy szlafrok, który mama uszyła jej na ostatnie Boże Narodzenie, siedziała zwinięta w kłębek w rogu kanapy.

Oglądała w telewizji „Bezsensowność w Seattle” i w najbardziej wzruszających momentach wypłakiwała strumienie łez.

Chyba jestem masochistką, myślała, wycierając nos.

Para bohaterów będzie w końcu szczęśliwa, tak jak za każdym z pięciu razy, kiedy ten film oglądała.

Oni tak, a ona? A Polly Chapman?

Kiedy usłyszała pukanie do drzwi, nawet nie pomyślała o tym, żeby się przebrać. A komu zależy na tym, jak wygląda? Czerwonego nosa i zapuchniętych oczu i tak nie udałoby się ukryć. Zresztą to pewnie któryś z sąsiadów chce coś pożyczyć. Z drugiej jednak strony, na sąsiada to trochę za późno. Ale...

- Przestań się mazać - powiedziała w końcu i otarła z policzków łzy.

- Otwórz te drzwi, załatw sprawę, z jaką ktoś do ciebie przychodzi, i miej to z głowy.

Zapomniawszy wyrzucić najpierw przez okno, Polly po prostu szeroko otworzyła drzwi.

I w tej samej chwili zabrakło jej tchu.

- Cześć, Polly - rzekł cicho Joe.

- Joe? - wyjąkała z trudem Polly.

- Mogę wejść?

- Ja... Nie, nie możesz. Jestem... chora. Chyba się przeziębiam, mam gripę i... Debbie i Jerome nie mówili ci, że źle się czuję?

- Debbie miała mi bardzo dużo do powiedzenia - odparł chłodno Joe.

- To dlaczego przyszedłeś? Przecież możesz się ode mnie zarazić.

- Bo musimy porozmawiać.
- Skoro koniecznie chcesz być chory...
- Polly, nie jesteś chora. Wiem, że płakałaś.
- Kiedy choruję, zawsze płaczę, bo jestem zła, że choruję i...
- Polly, kiepsko kłamiesz.
- To samo powiedzieli mi ci policjanci, kiedy przekonywałam ich, że jestem kuratorem Jerome'a.

- Możemy usiąść?

Polly poddała się. Usiadła na kanapie i wyłączyła telewizor. Joe usiadł naprzeciwko w fotelu.

- Czy możesz mi powiedzieć, dlaczego płaczesz? - spytał, patrząc jej w oczy.

- Nie.

- Dobrze, wobec tego ja ci powiem. Płaczesz, bo zdałaś sobie sprawę, że jesteś we mnie zakochana, a wciąż wydaje ci się, że nie ma w twoim życiu miejsca na realizację jakichkolwiek planów i marzeń.

- Nie bądź śmieszny. Nigdy nie mówiłam, że się w tobie zakochałam. Nie bądź taki pewny siebie.

- Czyżby? A pamiętasz, co było w tym domu, który mam zamiar kupić? Co z dziecinnym pokojem z tapetą w misie i pozytywką? Zachwycałaś się, jakim wspaniałym będę ojcem... Mówiłaś, jak bardzo mnie kochasz.

- O Boże... to niemożliwe - wyjąkała czerwona jak burak Polly.

- Tak, Polly, słyszałem wszystko. Teraz pora na mnie. I ja muszę wtrącić swoje trzy grosze. Kocham cię, Polly. Bardzo cię kocham i

chcę, żebyś została moją żoną, towarzyszką mojego życia, matką moich dzieci. Co ty na to, Polly? Wyjdiesz za mnie?

Do oczu Polly znów napłynęły łzy.

- Nie mogę - pokręciła głową. - Dlaczego mi to robisz? Nic się nie zmieniło, Joe. Nie jestem wolna. Mam zobo...

- Tak, wiem, lecz zrozum, że chcę się tym zająć.

- Nie, nigdy się na to nie zgodzę. Pamiętam, z jaką goryczą mówiłeś o swoich rodzicach, o tym, że sądzą, iż każdy problem da się rozwiązać dzięki książeczce czekowej. A teraz chcesz zrobić to samo.

- Wcale nie!

Joe podszedł do niej i chwycił ją za ramiona.

- Nie jestem taki jak moi rodzice. To będzie jednorazowa pomoc, która umożliwi nam bycie razem. Będziemy żyć z tego, co zarobię jako nauczyciel. Ty, jak długo zechcesz, też możesz pracować. Będziemy zwyczajnymi obywatelami klasy średniej.

- I tylko od czasu do czasu wspomnisz, że finansujesz naukę siostry i brata twojej żony? Nie, mowy nie ma.

- Polly, do cholery, nie rób nam tego.

- Nie mam wyboru, Joe. Wiem, kim jestem i co muszę zrobić. Kocham cię i chcę tego wszystkiego, o czym mówiłeś, ale to po prostu niemożliwe. Przykro mi, Joe. - Teraz Polly płakała już zupełnie otwarcie.

Joe podszedł do drzwi i jeszcze w progu ostatni raz na nią spojrział.

- Do widzenia, Polly - rzekł przez ściśnięte gardło. - Wspomniałem ci kiedyś, że przypominasz mi kolibra? Mówiłem ci? Jesteś tak jak on

delikatna, a równocześnie silna i... Kocham cię, Polly. I mogę mieć tylko nadzieję, że przyjdzie kiedyś taki dzień, w którym o tobie zapomnę.

Trzaśnięcie drzwi Polly przyjęła jak cios. Opadła na poduszki i płakała, płakała, płakała. A kiedy zabrakło jej łez, zasnęła.

I śnił jej się Joe.

Joe w ogóle nie pamiętał drogi powrotnej do domu. Chyba po prostu jechał jak lunatyk.

Ocknął się dopiero w swym mikroskopijnym salonie. Położył się na kanapie i gapił w sufit,

A więc to koniec... Koniec.

Straciłem mojego koliberka, moją Polly, moją miłość, moje życie, moją żonę.

Czas stracił dla niego znaczenie.

W poniedziałek rano Polly nie mogła już wytrzymać ani chwili dłużej w swoim ponurym mieszkaniu, zjawiała się więc w klinice wcześniej niż zwykle. Ku jej zdziwieniu Nancy i Robert już tam byli.

- Cóż za zbieg okoliczności! Nie mogliśmy się już doczekać, by z tobą porozmawiać i dlatego przyjechaliśmy jak najwcześniej.

- Czy coś się stało?

- Nie, nie - uspokoił ją Robert. - Omówiliśmy to, co przekazałaś Nancy, i chyba znaleźliśmy rozwiązanie dogodne dla obu stron.

- Ja coś mówiłam? - zdziwiła się niezbyt przytomnie Polly.

- W piątek. Zapomniałaś? Mówiłaś, że jesteś rozczarowana tym, iż musisz zajmować się tymi idiotycznymi zwierzętami, czytać im bajeczki i niańczyć je jak dzieci. Polly, dobrze się czujesz? - przerwała Nancy, nagle zaniepokojona. - Jesteś strasznie blada i masz sińce pod oczami.

- Nie, nic mi nie jest. Po prostu ostatnio źle sypiam. Przepraszam was, że tak się nad sobą roztkliwiłam. Proszę, zapomnijmy o tym, co mówiłam.

- Mowy nie ma, bo miałaś rację. Zdobyłaś wykształcenie kosztem wielu wyrzeczeń, a tu nie masz okazji, by w pełni wykorzystać swoje umiejętności. Ale, jak już mówiłem, znaleźliśmy wyjście z sytuacji.

- Chcesz się tulić, kumplu? - zaskrzeczała Jazzy.

- Cicho, Jazzy! - skarciła ją Nancy. - Usiądź i posłuchaj, Polly. Otóż kilka miesięcy temu zgłosiła się do nas grupa weterynarzy, którzy otwierają nową, bezpłatną klinikę na południu miasta. Chcieli, byśmy jako wolontariusze pracowali tam przez kilka godzin, ale w naszej sytuacji <sup>1</sup> to było wykluczone. Zaproponowaliśmy im więc ciebie. Jako technik weterynarz możesz robić wszystko, oprócz operacji. Z przyjemnością będą cię u siebie zatrudniać przez dwa dni w tygodniu. My nadal będziemy ci płacić taką samą pensję. A do czytania „Pinokia” naszym podopiecznym zaangażujemy studentkę weterynarii. No i co ty na to?

Polly aż klasnęła w dłonie.

- O Boże! Będę prawdziwym weterynarzem. Mogę naprawdę pomagać zwierzętom i robić coś pożytecznego. To cudownie! Bardzo wam dziękuję. Już nie wiem, co powiedzieć.

- Chyba spodobał jej się nasz pomysł. - Robert uśmiechnął się do Nancy.

- Butelkę piwa! - zaskrzeczała Jazzy.

- Raczej butelkę szampana - roześmiała się Nancy. - Trzeba to jakoś uczcić. Ale teraz musimy wziąć się do pracy.

Kiedy Nancy i Robert wyszli z pokoju, Polly jeszcze przez chwilę siedziała przy stole.

- Jakie to wszystko skomplikowane - westchnęła. - Joe, co ty na to? Czy popełniłam błąd? Czy się myliłam?

- Polly chce herbatnika? - zaskrzeczała Jazzy.

- Nie, Jazzy, nie herbatnika. Muszę znaleźć odpowiedzi na kilka pytań. To teraz najważniejsze.

Nigdy jeszcze w swoim zawodowym życiu Polly nie była tak szczęśliwa, jak przez następne dwa tygodnie.

Kiedy jednak po całym dniu pracy wracała do pustego, ponurego domu, czuła się samotna i opuszczona jak nigdy.

Tęskniła, całym sercem i duszą tęskniła za Joem.

W piątek pod koniec trzeciego tygodnia jej pracy w nowej klinice odwiedzili ją tam Debbie i Jerome.



- Trener Dillon przeprowadza się jutro do nowego domu - oznajmiła bez ogródek po krótkim, serdecznym powitaniu Debbie.

- O, to dobrze. Tak, to bardzo dobrze - wyjąkała Polly.

- No więc dlaczego ty nie przeprowadzasz się tam z nim? - spytała Debbie.

- Ta to się zawsze wtrąca w nie swoje sprawy - mruknął Jerome.

- Ktoś musi. Pan Dillon od kilku dni chodzi jak błędny. Nie cieszą go nawet zwycięstwa drużyny. Wszyscy wiedzą, że to z powodu kobiety. A tą kobietą jesteś ty, Polly, więc załatw to jakoś.

- To wcale nie jest takie proste - odparła niepewnie Polly.

- Jeśli się kogoś kocha, to wszystko jest proste. Albo kochasz, albo nie. Prawda, Jerome?

- Chyba tak.

- Wiesz co, Polly? - trajkotała dalej Debbie. - Trener Dillon dał nam meble ze swego starego domu. Do naszego ślubu przechowa je w domu swoich rodziców. Możesz w to uwierzyć? Mamy własne meble. Z początku oświadczyłam mu, że nie możemy ich przyjąć, ale pan Dillon bez trudu mnie przekonał. Powiedział, że ma coś, czego nie potrzebuje, a my tak. Kazał nam nie robić cyrków, tylko po prostu przyjąć to, co nam daje. Zaslugujesz na te meble, Debbie, stwierdził. I na jeszcze dużo więcej. Trener Dillon to wyjątkowy mężczyzna.

- Tak - przyznała Polly, a w jej oczach zaszklily się łzy. - Owszem, a ty jesteś wyjątkową osobą, Debbie. Dziękuję ci. Nawet nie wiesz, jak bardzo. Dzięki tobie znalazłam odpowiedzi, których szukałam.

- Co ja takiego zrobiłam?

- Wierzysz w siebie i słuchasz tego, co mówią ci mądrzejsi od ciebie. Pora, bym i ja poszła w twoje ślady.

Następnego dnia po południu Polly bardzo wolno jechała ulicą, przy której stał nowy dom Joego. Musiała zdobyć się na odwagę.

Kiedy zaparkowała auto na podjeździe, przez chwilę wpatrywała się w dom, wyobrażając sobie jego wnętrze - słoneczne pokoje, kamienny kominek, dębowe półki i pokój dziecienny z tapetą w misie i pozytywką.

To na razie jest dom Joego, a najbliższe minuty pokażą, czy będzie to dom Joego i Polly.

Sprawdziła swój wygląd w lusterku, wzięła z tylnego siedzenia papierową torbę i wysiadła z auta.

Czy nie jest za późno? Czy nie za bardzo zraniła Joego swoją odmową?

Czy jest jeszcze szansa na ich wspólną przyszłość?

Drzwi wejściowe były szeroko otwarte, pewnie po to, by ułatwić wnoszenie mebli.

Polly zajrzała najpierw do salonu. Uśmiechnęła się na widok stojących przed kominkiem krzeseł oraz dębowych stolików i mosiężnych lamp.

Joe miał bardzo dobry gust, jeśli chodzi o meble. Salon, choć tylko częściowo umeblowany, już wyglądał bardzo przyjemnie.

A, właśnie. Joe. Gdzie jest Joe?

- Halo? Joe? Jesteś tam? Cisza.

Choć czuła się jak intruz, Polly wiedziała, że musi wejść do środka.

Czy Joe da jej jeszcze jedną szansę? Czy zechce jej wysłuchać?

A od tego zależy cała jej przyszłość.

Nagle usłyszała jakieś odgłosy, dochodzące z ogrodu na tyłach domu. Weszła do kuchni i przez otwarte okno nad zlewem wyjrzała na dwór.

Joe leżał na trawie i bawił się z cudownym, rudym szczeniakiem, golden retrieverem.

Polly wiedziała, że musi do niego podejść. Mocno ścisnęła pasek torebki, uniosła głowę i przez kuchenne drzwi wyszła do ogrodu.

Szczeniak zauważył ją pierwszy i rzucił jej się do nóg.

- Cześć, malutki - szepnęła, przyklekając na trawie. Joe, zaskoczony, zerwał się na nogi i otrzepał spodnie.

- Polly?

No, Polly, odwagi!

- Cześć, Joe - powiedziała bez cienia uśmiechu. - Masz cudownego psa.

- Tak - mruknął Joe, czując, jak mocno wali mu serce. - Jeszcze jest trochę zwariowany, ale... Co ty tu robisz?

- Chciałabym z tobą porozmawiać, jeśli... jeśli zgodzisz się mnie wysłuchać.

- Dobrze. Mów.

- Czy moglibyśmy wejść do środka i usiąść?

Joe bez słowa wszedł prosto do salonu. Polly podążyła za nim. Na kanapie poczuła się pewniej. Od razu, chcąc wykorzystać resztki odwagi, przeszła do rzeczy.

- Joe, wiem, że cię zraniłam, kiedy odrzuciłam twoje oświadczenia i kazałam ci odejść.

Joe w odpowiedzi wzruszył tylko ramionami.

- Wtedy nie widziałam innego wyjścia... Mimo... mimo że tak bardzo cię kocham. Potem dopiero zaczęłam myśleć... W ogóle nie mogłam przestać myśleć o tobie, o tym, co mi powiedziałeś, o tym, kim jestem, że się sprzedałam, że powinnam wreszcie coś zrobić tylko dla siebie...

- Rozumiem.

- Zaczęłam od pracy. Okazało się, że z moim wykształceniem stać mnie na dużo więcej. Zrozumiałam to dzięki tobie. Wiem, że mam prawo do marzeń. I że tylko ode mnie zależy, czy je zrealizuję. Uwierzyłam, że mogę być dobrą żoną, towarzyszką życia, matką. Mam dość sił, by iść z tobą ramię w ramię przez resztę życia.

Polly mówiła jak katarynka. Nie pozwalała sobie przerwać. Z trudem powstrzymywała łzy.

- Czy wybaczysz mi, Joe?

Joe podbiegł do niej i chwycił ją w ramiona.

- Naprawdę tego chcesz? Naprawdę? - szeptał gorączkowo. - Pozwolisz, bym pomógł w nauce twemu rodzeństwu?

- Tak, ale...

- Ale...?-zaniepokoił się Joe.

Polly wysunęła się z jego objęć i sięgnęła do torby. Wyjęła z niej różową, glinianą świnkę-skarbonkę.

- Mam jeszcze odrobinę dumy - powiedziała. - Spłacę ci każdego dolara, którego wydasz na naukę mojego brata i siostry. Pieniądze będą wkładać do tej skarbonki.

- Zgoda - rzekł Joe.

Gotów był zgodzić się na wszystko. Był teraz najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi.

- Kocham cię, Polly. Tęskniłem za tobą. Ten dom bez ciebie jest martwy. Zamieszkaj tu ze mną, zostań moją żoną.

- Oczywiście, Joe - Polly uśmiechnęła się przez łzy. - Przecież po to tu przyszedłam. I w dodatku coś ci przyniosłam.

Tym razem z torby wyjęła kudłatego, pluszowego misia.

- To symbol przyszłości. Pierwsza zabawka dla dziecka, które będzie owocem naszej miłości.

Joe wziął Polly za rękę.

- Ja też mam coś dla ciebie. Chodź. Poprowadził ją prosto do jednego ze słonecznych pokoi, do tego, który w jej myślach był pokojem dziecięcym.

Na podłodze, pośrodku pustego jeszcze wnętrza, stała kolorowa pozytywka z kręcącym się porcelanowym misiem.

- Och, Joe. - Polly rozplakała się już na dobre. Joe wziął ją w ramiona i mocno przytulił.

- Kocham cię, Polly.

- I ja cię kocham.

Przez chwilę stali tak w milczeniu. Pierwsza odezwała się Polly,

- Joe? Jak nazwałeś naszego psa?

- To kolejny dowód, że nie chciałem o tobie zapomnieć - parsknął śmiechem Joe.

- No więc jak?

- Jazzy!

RS